



**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldénów albo 5 talarów.

**Treść Numeru.** Od Redakcji. — Córka pastora przez Edmunda About. — Listy o literaturze i literatach Warszawskich. — Przegląd literacki, artystyczny, teatralny i różne wiadomości. — Kronika teatralna. — Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego.

## Od Redakcji.

W przyszłym roku **1870** pomiędzy innemi artykułami z ważniejszych i obszerniejszych pomieszczone zostaną w Tygodniku Mód następujące prace tak oryginalne jak tłómaczone:

1. *Rzecz o Szekspirze* przez Kazimierza Kaszewskiego, napisana umyślnie z powodu zapowiedzianego przedstawienia na scenie naszej tragedji, tego genialnego pisarza.
2. *Prelekcje publiczne o literaturze dramatycznej i powieściowej* profesora H. Lewestama.
3. *Nieużyteczni* komedja w czterech aktach Edwarda Cadal, przełożona przez p. Joannę Belejowską.
4. *Miłość wieczna* powieść Pawła Perret z francuzkiego tłómaczona.
5. *Młot i kowadło* powieść w trzech częściach Fr. Spielhagena przełożona z niemieckiego przez Michała Gliszczyńskiego.
6. *Powieść* przez p. Elizę Orzeszkową w trzech tomach, oraz powieść pani Pauliny Wilkońskiej.
7. *Wspomnienia Klarneckisty* przez Erkmanua i Chatriana przełożone przez Jana Chęcińskiego.

## CÓRKA PASTORA

przez

Edmunda About.

(Dokończenie).

Koło tego postanowienia nakreślił plan działania. Znał zwyczaj panny Lauth, wiedział gdzie ją można spotkać każdego dnia, każdej niemal godziny, przyjaciele szanowanej rodziny byli jego przyjaciółmi, dom nawet kanonika mógł być przymusowo otwartym. Był przecie ich lekarzem. Jedno go tylko wstrzymywało, a to: że przyjął wyrok bez protestacji. Garbarz i kanonik przyjęli dymisję pretendenta, — czy to już nie zapóźno apelować? Biedny doktor pojął że własna jego rezygnacja popchnęła bieg sprawy, czuł się niby związany dobrowolnem ustąpieniem. Niezadowolniony sam z siebie chciał się ożywić wspomnieniem Addy, — lecz dziwnym wypadkiem — dziewczyna wydała mu się mniej piękną i ujmującą niż wczoraj. Ach, bo wczoraj patrzył na nią przez pryzmat, radości i nadziei, — a dzisiaj ileż cieniów, zawodów i przykrości, ma to śliczne malowidło.

Nadużyłbym twój cierpliwości, gdybym chciał opowiadać wszystkie wachania się tego umysłu zrażonego, niespokojnego, zagniewanego, przeważającego się na lewo i prawo, bez punktu oporu. Rozdrażnienie doktora sprawiło widowisko Strasburgowi na kilka tygodni, a Bogu tylko wiadomo, ile było prawdy w komentarzach. Trzeba jednak wyznać na pochwałę braci Lauth, że dochowali tajemnicy i pozwolili pleść innym ile się spodobało. Cóż wiadano w świecie Strasburgskim? Oto że pan Marchaul nie bywa więcej w domu kanonika, że rodzina Lauth strzeże się wymówić jego nazwiska, że doktor z jednej, panna Adda z drugiej strony, wyglądają jak dwie dusze pokutujące, i że o przepowiadaniem małżeństwie nie ma mowy nawet. Jeśli pan znasz prowincję, domyślasz się, co tu pięknych rzeczy można było wysnuć na tej kanwie. Publiczność wymyśliła ich więcej niżli potrzeba do przeszkodzenia stu kawalerom do znalezienia jednej żony, i stu dziewczętom, do wybrania jednego męża. Dla Addy, żyjącej w otoczeniu rodzinnem jak w zamurowanej wieży, te wymysły swywołnej wyobraźni przepadły, lecz doktor nie stracił z nich ani jednego.

Gniew jaki nim mიაတ, wyraził się przez pożerczy apetyt ożenku. Bogata czy biedna, brzydka czy

ładna, wszystko jedno, byle prędzej nasycić niecierpliwość. Trzeba było jak najspieszniej pobić nieprzyjaciela, t. j. plotki i dowcipki wiejskie, trzeba było dowieść rodzinie Lauthów, że nie tylko w niej spoczywało jego szczęście; nakoniec prawda nakazuje wyznać wszystko, doktor doszedł do téj chwili, opisanéj przez garbarza, w której zaślubia się raczej wszystkie plagi ziemskie, niż zostaje nadal kawalerem trzy miesiące dłużej.

A mieszkała w owym czasie pewna nauczycielka fortepianu, zajmująca się swataniem. Nazywała się panna de Blumenbach i była córką prawdziwego pułkownika, co jej dawało wolny wstęp do wszystkich domów po godzinach lekcji. Dobra panna, ładna w swoim czasie, siejąca nieszczęśliwie rutkę, i pocieszająca się w przymusowej dziewiczości chrześcijańską pracą na szczęście bliźnich. Za usługi tego rodzaju nie przyjmowała żadnych podarków, zalecając tylko młodej parze: „Pamiętajcie mieć córki, aby mi uczennic nie zabrakło. Zapowiedziałem ci, że w tém zdarzeniu jedynie o poczeiwych mowa.

Owoż ta panna de Blumenbach, okragła jak jabłko i ustrojona w wieczną żółtę wstęgę, spotkała naszego przyjaciela Marchaula u rektora akademji. Instytut popchnął ich do siebie, a zacne stworzenie po przegranych czterech partjach *écarté*, jaśniała radością jak słońce. Zauważano tę przemianę i złośliwi gadali o niej wiele, a zastępca sędziego *Pasturian*, zręczny paryżanin, opowiadał nazajutrz przed posiedzeniem, że zrozpaczony zawodem Marchaul oświadczył się o rękę panny de Blumenbach.

Smiano się z tego dwa tygodnie, lecz nagle usłyszano prawne zapowiedzi małżeństwa między Henrykiem Marchaul profesorem na fakultecie medycznym, z Zofią Klarą Akstmann, młodszą córką wielkiego rękodzielnika z Hagelstadt.

Klara Akstmann miała dziewiętnaście lat, jeśli nie była wykształconą, to przynajmniej dobrze wychowaną, jeśli nie piękną za to ładną aż do połknięcia słinki, — tłuściutki i dobrze wypasiony gołąbek, bojaźliwy i grzeczny, mięszający się łatwo, pieśczośliwy i drzący. Profesor nie znał jej, jakkolwiek spotkał w towarzystwie ze sto razy a może też i dla tego: że rosła w jego oczach, nie zwracał na nią uwagi. Dla tych samych powodów, spojrzenie młodego dziewczęcia, często przesliznęło się po doktorze, lecz nigdy się nie zatrzymało na dłużej. Walcowała z nim jak z wieloma, lecz serduszek nie zabiło silniej przy nim jak przy innych. Kilka razy ośmieliła się doktorowi polecić chorych zamieszkałych dosyć daleko po za siedliskiem robotników, a lekarz przez grzeczność czy przez dobroć, nie poskapił czasu i nóg,



i oto cała przeszłość tych dwóch dusz, które wójt i proboszcz Hagelstadu mieli złączyć na całe życie.

Obojętność a raczej unikanie panny przez pana Marchaul, zasługiwało na pochwałę tem bardziej, że Klara jakkolwiek miała jeszcze brata i dwie siostry, należała do najposażniejszych w departamencie. Posag, dwa razy większy niż panny Lauth, stanowił zaledwie czwartą lub piątą część ogólnego spadku. Jak zaś ci wiadomo, doktor nie był wymagającym, nie jest ci również obcem, jak wynagradzano jego skromność.

Otóż niesprawiedliwość ludzka szlachetnie naprawiona przez uśmiech losu. Poczciwa Blumenbach odegrała rolę Opatrzności, — p. Akstman przyjął łaskawie oświadczenia, „które go równie cieszą jak i zaszczyt przynoszą, a matka bawiła się na samą myśl, że jej córkę nazywać będą panią profesorową, *Frau Professorin!* Młodzi, albowiem kto się żeni, staje się młodym, widywali się codziennie, a miłość ich wzrastała według postępu, którego matematycy dotąd nie obrachowali. Od czasu kiedy Henryk i Klara dowiedzieli się, że są przeznaczeni dla siebie, tysiąc skrzydlatych tkaczów, snuło z swego czółenka złotą nić i wiązała nią naręczonych. Zdziwiony ich niepospolicie, gdyby im powiedziano: że się nie znali, niekochali i nie szukali wzajemnie na świecie. A gdyby jakiś sceptyk śmiał wyrzec przy nich, że Klara mogłaby się również prędko zadurzyć w innym młodzieńcu, Henryk zaś w innej kobiecie — doprawdy obawiałbym się o skórę tego filozofa.

Cały Strasburg był zmuszony przyznać, że profesor Marchaul odmłodził o lat dziesięć. Kiedy przebiegał ulice, rzekłbyś, iż ma skrzydła, — pruć powietrze, i zdawało się, że zostawiał po za sobą świetlane ślady. Wchodził do najpiękniejszych sklepów, i zakupywał rzeczy najdroższe bez targu. Płacił i umykał jak warjat, zapomniawszy o reszcie. W szpitalu był dziwnie uprzejmym dla chorych i dla sióstr miłosierdzia; — wszystko widział w różowych kolorach, — dawał czego kto żądał, przepisywał wino, kury, kotlety co kto chciał. Z katedry wygłaszał teorie najmiłsze, przeczył chorobom niewyleczonym i nie widział przyczyny dla którejby człowiek przyżył, szczęśliwy i żonaty nie mógł żyć półtora wieku! Słuchano go, uśmiechano się, lecz mimo to wyznawano: że nigdy nie okazał tyle talentu. Studenci klaskali mu aż do opuchnięcia rąk; pewnego dnia zebrał się przed fakultetem w zamiarze wyprawienia głośniejszej owacji, — lecz pan profesor wymknął się tyłem i pojechał do Hagelstadu.

Przyszła rodzina szczęśliwa, obiecała nawiedzić go w Strasburgu. Wypadało przed ślubem pani Akstmann wraz z córką ogłosić wielką nowinę — przy tej sposobności trzeba było dokupić wiele rzeczy do wyprawy, gdyż wyprawa nigdy nie jest dostateczną i kupowanoby do sądnego dnia, gdyby chcieli słuchać mamy. Doktor skorzystał z wypadku, i używszy wielu podstępów, sprosił wszystkich Akstmanów żyjących na ziemi na ucztę. Tydzień cały trwały przygotowania; — i nie tylko że zakupił wszelki drób i zwierzyń z miasta, lecz w dodatku naszpilał tyle sprzętów, iż Fritz i Berbel, jego służący — nie wiedzieli gdzie to ustawić. Sciany domu kazał pomalować na nowo, — i czy malarz przemienił garnki, czy djabeł zmącił farbę, kolor biały zmienił się w różowy, — ślepy by chyba tego nie widział.

Cóż za obiad i dziwy! Prawdziwa uczta weselna przed weselą! Łosoś tak wielki jak rekin, a rzeczne raki do morskich podobne. Wszystkie gatunki wina Alzacji i Burgundji przesunęły się przed papą Akstman, a ten mlaszcze językiem w podniebienie i smakuje i nacieszyć się nie może. Matka i trzy córki umoczyły tylko usta, dla odwilżenia rozmowy, Klara między jedną a drugą potrawą opowiada o odwiedzinach, jakie odbyła, i życzeniach jakie odebrała i o pochwałach ogólnych a jednoznacznych Henryka.

— Żałuję mocno, że nie zastała Addy. Nie było jej ani w domu, ani u ciotki Miller ani u dziadków, ani u wuja Jakóba. Tak bardzo chciałam ją uściśkać i podzielić się radością! To prawdziwa moja przyjaciółka, znasz ją — wszak prawda Henryku?

Doktor odpowiedział bez zająknięcia, a pewnością bynajmniej nie była udana. W całym jego sercu zamieszkała panna Akstmann, dla reszty stał się obojętnym. Wspomnienia o Addzie odbiegło tak daleko, że jaśniała zaledwie drobnymi światłami na horyzoncie jego myśli.

W ośm czy dziesięć dni później odbyły się zaślubiny w hucie Hagelstadu. Obrząd był nie tylko wspa-

niały, lecz serdeczny i wzruszający. Najprzód: urząd mera sprawował dawny sługa rodziny, — widział Klare dzieckiem, był powiernikiem małych jej miłosiernych tajemnic, i zwyczajnym jałmużnikiem. Poczciwy człowiek płakał gorącymi łzami wymawiając nieodwołalne wyrazy, łączące z sobą dwa serca na zawsze. Proboszcz zawdzięczający swoją prebendę panu Akstmann, był długi czas profesorem trojga dziewcząt. Nikt przeto lepiej nad niego nie wiedział, jaką czułą i dobrą duszę posiadał doktor przez to małżeństwo. Sługa boży nie wierzy bardzo w naukę i uczonych. Wyznał więc swą obawę lecz z taką dobroduszością, tak naiwnie zalecał mężowi prostaczą ciemnotę i sznowane przesady żony, — że Marchaul uściśkałby go z radości, gdyby nie widok twarzy posypanej tabaką. Robotnicy fabryczni mieli niezliczone powody do kochania Akstmann. Naczelnik huty był z rzędu tych szlachetnych pryncypałów, dzielących sprawiedliwość prawa, kapitału i pracy. Dodaj do tego, że doktor nie przyjechał tam do obcych, że mężczyźni, kobiety i dzieci przeszły przez jego ręce, i znały jego poświęcenie i troskliwość dla ciała ludzkiego, — więc poczciwcy łamali sobie głowę nad sposobem upiększenia uroczystości rodzinnej, na którą byli zaproszeni. Pryncypał wyprawił im bal, oni odpowiedzieli koncertem: sproszono ich na obiad, oni spalili sztuczne ognie i tak święta równość kapitału i pracy utrzymywała się ciągle.

Kwiatek Strasburga uczestniczył przyjemności, — boć nie zapomniano o drogiej Blumenbach, lecz Klara opłakiwała bardzo nieobecność Addy. Kanonik ze swą połowicą przyjechał rano, i ktoś tam jeszcze podobno z ich domu, ale panna Lauth, której przeznaczono zaszczyty drużki, wymówiła się piśmiennie. Cierpiała, mówiono, straszną migrenę. Z pewnością nie kłamała, zrobiła uwagę Klara, gdyż pismo było wielce nieporządnem. Henryka Marchaul obchodziło to tyle, co pisk katarzynki lub warczenie wrzeciona. Głównie go zaprzątała myśl o karcie pocztowej, jaka o dziesiątej wieczorem miała unieść szczęśliwą parę.

Wziął urlop na miesiąc z zamiarem zwiedzenia Niemiec. Te poślubne podróże są przesłizne, jakkolwiek mało przynoszą korzyści. Przechodzi się katedry, *table d'hôte*, zbiory obrazów a ciągle patrzy się tylko na siebie. Napróżno dekoracja teatralna ludzi oko ponętym i bogatym widokiem, uwaga widzów zwróconą jest na małą osobkę, — miłość, która zawsze i wszędzie zjawia się im na pierwszym planie. Po powrocie do Strasburga małżonkowie Marchaul nie zbyt biegle opowiadali o galerji drezdeńskiej i monachijskiej, ale za to znali się wybornie i uwielbiali wzajemnie, sąsiedztwo blizkie, wyboje i inne niewygody nie odłączne od podróży zrównały ich naturę tak, że odtąd stanowili jedną osobę. Nie potrzebuję dodawać, że nie mieli tajemnic dla siebie. Mimo to doktor nie opowiedział żonie zawodu, jaki go spotkał w domu Lauthów, tej miłości zmiażdżonej w jajku pod ciężkim pantoflem krewnych. Lecz jeśli nie opowiedział to nie z obawy zazdrości, lub że się zostały jakieś mgły w sercu jeszcze, nie — milczał dla prostej przyczyny, że prawie zapomniął o wypadku. To trwało tak krótko, serce tak lekko było dotknięte, a później tyle nowych nastąpiło zdarzeń. Niemiłosiernie sobkostwo szczęścia — tak bajećnie daleko odsuwa wspomnienia. Adda Lauth! Co za Adda? Od trzechmiesięcznych wieków nie spotkał jej uśmiechniętej twarzyczki.

Lecz biedna Adda pamiętała jeszcze. Kwartał ten cały cierpiała okropnie. Czas wydawał jej się nielitościwie długim, to liczyła minuty miarą boleści i niepokoju, i dziwiła się, że w tak krótkim przeciągu tyle łez można wylać.

Wierzajcie mi, iż nigdy nie żałujemy dosyć młodych dziewcząt. Patrz na to małe i śliczne stworzenie, szczere, łagodne, kochające, dające się uwieść bez oporu sympatycznej słabości. Kocha i być może, iż ma powody sądzić się kochaną, — lecz przyjęte zwyczaje świata nie pozwalają jej ani okazać swych usposobień, ani wypowiedzieć jasno uczucia, od którego cała jej przyszłość zawisa. Jej przeznaczeniem: patrzeć, czekać i milczeć. Właśni rodzice poczytali by za grzech, gdyby chciała mówić o tem z niemi. Wszyscy chcieliby ją widzieć bezwładną, bierną, bez życia, — głupią nawet być może! Pozwalają kręcić się koło niej bezżencom; — ułatwiają jej prawie zajęcie się profesorem Marchaul... Bah! to jeszcze nie grozi następstwami, dotąd serce w grze dopiero! Ale w dniu, w którym pan Marchaul jako człowiek poczciwy

zaząda jej w małżeństwo, — wszystko się zmienia. Jako pani!.. czy sobie z nią i z nas żartujesz po-chlebując córecę? czy też naprawdę myślisz udarować ją twojem nazwiskiem? Wychodź i nie wracaj dopóki cię nie zawołamy! Jesteś zanadto biedny! albo za stary, albo już nie wiem co, — mniejsza oto, nasza córka nie dla ciebie! Ale ją ja kocham. Tem ci gorzej! A gdyby mnie ona kochała? Nie-podobna! Ależ nakoniec nadskakiwałem jej, — widziałam mnie zawsze koło siebie, coż sobie pomyśli kiedy raptownie i grubiańsko odwrócić się do niej plecami? Nie nie pomyśli łaskawy panie, — czyż to pozwala się myśleć młodym dziewczętom?

— Zechciejcież przynajmniej powiedzi eć jej, że proszę o rękę i że odchodzę w boleści.

— Ach mój zakochany aspanie, za kogóż to nas bierzesz? Cóż to chcesz byśmy ją uczyli romansowych okrzyków, które przewracają głowę? Z dwóch rzeczy jedna: albo cię niekocham i twoje zniknięcie będzie dla niej obojętnem, albo ma słabość do ciebie z której się w krótkie wyleczy! Wyprawiemy ją w podróż jeżeli koniecznie wypadnie, potrzeba rozrywki nie jest zbyt drogą dla dobrych rodziców, a kiedy idzie o szczęście córki! Zapomni!

A to co mówię, toć przecie nie wyjątek, niestety nie! Wszyscy ojcowie i wszystkie matki kryją przed córkami oświadczenia, które im się nie podobają *a priori*. Obawiają się, aby młode serca nie chwyciły piłki w powietrzu, drżą przed sympatją dziecka dla człowieka odrzuconego z interesu widzieli się, lub dla przesądów rodziców. A ta płocha i fałszywa roztropność, rodzi zawsze przykre następstwa, jak się o tem przekonasz z dalszego ciągu powieści.

Adda widziała spotkanie wuja z doktorem. W tym bowiem czasie, spędzała długie godziny w oknie, jak wszystkie wyczekujące jakiegoś posłańca z zewnątrz, gołąbka lub kruka. Widząc zdaleka Henryka Marchaul przeczuła coś ważnego, był inaczej jak zwykle ubrany, wydawał się wrzuszonym, młode dziewczęta posiadają genjusz spostrzegawczy, ile razy porusza się sprężyny sercowe. Widziała Jakóba Lauth spieszącego na spotkanie ukochanego Henryka; zrozumiała z ich twarzy i znaków, że rozmowa przybrała poważny nastrój. Później obydwa oddalili się, zniknęli i biedne dziecko została samo w niepokoju, wzruszeniu prawie do zemdenia. Na szczęście była samotną w swoim pokoju, mogła więc płakać i modlić się do woli. Niepokój olbrzymiał się do wielkości w ciągu jednej godziny: gniewała się na wuja, za uprowadzenie doktora w tak stanowczą chwilę. Uderzenie młota wyrzuciło ją z krzesła i jednym skokiem stanęła na nowo przy oknie: niestety! nie Henryk lecz wujaszek stał u wrót. Wybiegła naprzeciw, uściśkała ją jak człowiek w pośpiechu, wszedł do pokoju kanonika i niegrzecznie a szczerze zamknął drzwi za sobą. Adda wróciła do siebie i przygotowywała się do wyjścia gdyż zdawało jej się: że ją koniecznie zawołają lada chwila. Czyż to nie o jej przeznaczeniu radzono? Ale kanonik nawet się o nią nie zapytał, nacisnął kapelusz i poszedł na miasto z garbaczem. Z pewnością idą po Henryka, przyprowadzą go, myślała, trzeba toaletę poprawić. Lecz przed bramą Lauthowie rozdzielili się jeden zmierzając do garbarni, drugi na nadbrzeże Bateliers. Wszystko dobrze, czyż nie dosyć że sam ojciec zaprosi p. Marchaul. Czyż koniecznie, aby szedł jak między dwoma żandarmami?

Ale ukochany nie zjawiał się ani sam ani w towarzystwie: biedna Adda napróżno czekała dzień cały. Wieczera rodzinna nie przedstawiała nic szczególnego, mówiono o deszczu i o pogodzie, ojciec nie wyglądał ani więcej uradowany lub nasepiony, ani też czemkolwiek bądź zajęty bardziej niż zwyczajnie. Wszyscy byli naturalni, prócz jednej Addy, która dla okrycia niepokoju śmiała się często bez powodu. Nakoniec wstano od stołu, a wkrótce przyjaciele domowi, po zgaszeniu latarek i zawieszeniu płaszczy w przedpokoju, napełnili salon. Adda wiedziała dobrze, że doktor nie był jednym z najpierwszych gości, i być może, że gdyby teraz wszedł, nie wstrzymałby się od zapytania. Cóż nowego? Lecz wszyscy stawali się oprócz profesora, i w skutek ohydny fatalizmu, nikt nie zwrócił uwagi na tę nieobecność. Biedne dziewczę mówiło w duszy. O mój Boże, ja-czyż to egoiści z tych ludzi, czyż nikt się nie zlituje i nie wymówi jego nazwiska? Dlaczego ona nie znalazła odwagi na zrobienie sobie tej przyjemności? Bo Adda była dziewczyną dobrze wychowaną i nasytyła od dzieciństwa do hamowania porywów wrodzonych.



Od tej chwili, aż do czasu, w którym małżeństwo doktora z panną Akstmann, stało się przedmiotem podziwu całego miasta, dnie Addy płynęły jednakowo. Czytała, marzyła, płakała—grała trochę, haftowała wiele; tańczyła po wieczery z młodzieżą, i odpowiadała na pochlebstwa zimnym i bladym uśmiechem. Przyjaciele domowi domyślali się czegoś, lecz nikt nie chciał kłaść palca między pień i siekiere. Kanonik zapytywany grzecznie przez bliższych, odpowiadał grzeczniej jeszcze. Jako dobry ojciec chciał rozzerwać Addę, i wziął abonament do teatru na całą porę widowisk. Adda dała się prowadzić jak owieczka ofiarna, lecz łatwo było zgadnąć, że jej źle wszędzie. Zdrowie dziewczyny zdaje się niczem nie zagrażać, jednak kolory znikły a usposobienie posępniało. Dobrze, gadali sąsiedzi, „oto jedna dziewczyna jeszcze marniej!”

Na odwiedzinach u znajomych, w towarzystwie matki, usłyszała wielką nowinę. Wiecież panie, że profesor Marchaul żeni się z panną Akstmann, — co za szczęście dla naszego doktora! Strzał padł jakby w samo serce dziewczyny, Adda upadła na wznak wyprostowana, sztywna, bez drgnienia — jak żołnierz raniony kulą armatnią. Podniesiono ją, cucono, otworzono okno; piec zbyt rozpalony w salonie był przyczyną. Ach niegodziwi, zduni jakże złe piece robią!

Kiedy przyszła do przytomności, gdybyś spojrział na nią, wzbudziłaby strach prędzej niżeli litość, z oczu padały pioruny. Powiedziała tylko jeden wyraz, i to głosem tak przygłuszonym, że nikt nie dosłyszał:

— Podły!

Ten wyraz wypowiedział cały gniew i pogardę, jaką zrodziła miłość nieuznana, godność urażona, zdradzona dobra wiara i pogwałcony honor. Aż do powzięcia tej wiadomości, starała się usprawiedliwić doktora, a nawet — spodziewała się. Pocziwie jej i proste serce, przeczyło z góry wszystkim pozorom czerniactwom wybranego. Błędne światelka rozgorączkowanej wyobraźni, pokazywały jej zawsze Marchaula wiernym, walczącym z przeszkodami nieznanymi, i wystawionym na tysiące prób, rad i uwag jak najrozmaitszych. Zawsze więc dla niej był zacnym, szlachetnym i ukochanym. Teraz zaś wątpli nie mogła; zdradził przyrzeczenia milczące lecz czyste, — a przyczyna odstępstwa była jedną z najhaniebniejszych: interes, płaska chciwość, przywiązanie do pieniędzy! Ach! to za wiele niekczemności! Chciałaby go widzieć przy sobie, spoliczkować, i tem uderzeniem cofnąć wszelki szacunek, który pogwałcił.

To dojmujące oburzenie podziało dobrze; odzyskała rumieniec, stała się żywszą niż za dni szczęśliwych. Namietny gniew podniósł ją i utrzymywał. Zgadujesz, iż nienawidziła teraz Marchaula więcej daleko, niż go kochała dawniej. Lecz obyczaje dobrze wychowanej dziewczyny, nie pozwalają okazywać wstępu równie jak miłości. Namietności są wzbronione; — trzeba je tłumić w sobie aż do ognistego wybuchu.

Serce panny Addy wzdygało się na myśl o ujrzeniu niegodnego profesora. Ale jak uniknąć spotkania? Był ich lekarzem domowym, — ożenił się z przyjaciółką rodziny; uczęszczali do jednych towarzystw. Co za męka widzieć go, nienazwać po imieniu spełnionego uczynku, — gdyż są pewne rachunki, których się nie zatapia przy świadkach.

Tymczasem spodziewano się odwiedzin Klary. Klara nie zdradziła nikogo, Adda nie zwierzyła jej się, niepodobna więc na kobietę składać winy męża. Mimo to, Adda dziwnie oziębła dla przyjaciółki dzieciństwa; unikała ile mogła uścisku panny Akstmann. Umiiała nie pokazać się w chwili przyjęcia narzeczonej; — użyła sztuki, aby nie uczestniczyć na godach weselnych; — przyszłość oddała w ręce Opatrzności: nie pomijając wszelako drobnych środków w jakie obfituje prowincja. Wiadomem jest prawie zawsze, w których godzinach wybiera się w odwiedziny, i stosownie do tego wychodzi się lub zostaje, chcąc przyjąć osoby lub tylko ich karty.

Taktyka panny Lauth była niewinnie popsuta przez grzeczność młodej małżonki. Zaraz po przybyciu do Strasburga, pobiegła do swej przyjaciółki zastała ją jeszcze nieubraną i skoczyła na szyję. To się stało tak prędko, że Adda nie mogła powziąć środków obronnych i dopiero po serdecznym ucałowaniu zobaczyła panią Marchaul. A wtedy wpadła w taką uszczypliwą obojętność, że dobra Klara pomieszana, zakłopotana i zdziwiona nie opowiedziała jej nawet czwartej części zamierzonych zwierzeń i powróciła

zmartwiona, nie wyjawsz z kieszeni podarków jakie przywiozła z podróży dla Addy, mówiąc zaś o tem doktorowi gorzko płakała.

Ten wypadek ożywił wspomnienia męża, a nie myśląc ukrywać się z niczem przed żoną, wyznał jej szczerze miłość, oświadczył i odmowę Lauthów. Klara, rozumie się, sądziła jako kobieta zakochana, nazwała Lauthów głupcami i dowiodła: że nie ma na ziemi miłszego człowieka nad profesora. Lecz jeśli te ośły nie chciały, dla czegoż mi robić tyle przykrości?

— Rodzina nie ma nic do mnie, tylko Adda, ponieważ uznano za stosowne nie jej nie powiedzieć o moim życzeniu. Myśli zapewne że dla jakiegoś widzimisie lub w brzydkich zamiarach poświęciłem ją dla panny Akstmann tutaj przytomnej.

— Ależ to szkaradne!

— Co najmniej bardzo nieprzyjemne, lecz jeśli zechcesz przekonać ją, gdyż nie chcę być sądzonym za moją grzeczność.

— Czyż ci tak bardzo chodzi o ich przekonanie?

— Niemilem jest w każdym razie być źle sądzonym, choćby przez głupią dziewczynę.

— Nie wydaje mi się właściwym tłumaczenie przed nią. Pomyśli że się kochasz w niej na nowo.

— Niby to wszyscy nie wiedzą, że tylko ciebie jedną uwielbiam na tym świecie!

— Tak ale znam Addę i jestem przekonana, że będzie krzyczała żeś mnie poślubił po odkoszu z jej strony, i że mi zrobiła podarek z tego, co sama odrzuciła!

— Nie!

— Ale tak! Zostawmy więc rzeczy lepiej tak jak są i starajmy się unikać tej miłej osóbk.

Zdanie małżonki przeważało, zawarto przymierze zaczepne i odporne, które głównie miało się wyrazić przez głośne okazywanie wzajemnej miłości, ale wymagania towarzyskie często są mocniejsze niż postanowienia ludzkie. Młoda para była zmuszoną zgodzić się na uroczystości, które się nazywa przenosinami, i prawie wszędzie spotykała Lauthów z nieubłaganą Addą. Wypadło nawet przyjąć objad u nich, a złośliwy los czy wyrachowana zemsta usadowiła profesora obok obrażonej panny. Biesiadnicy ucierpieli na tem zbliżeniu, doktor był zakłopotany, Klara oddała się zazdrości, a kto wie czy Adda nie była nieszczęśliwszą z całego grona? Biedna dziewczyna nie była bynajmniej sądzoną do odgrywania gwałtownych roli. Tego wieczoru wyrzuciła z ust słówko więcej niż nieuprzejme. Mówiono o pewnej biednej wdowie, szanowanej przez całe miasto, która w strasznym zdarzeniu, utraciła jedynaka syna. Kanonik i doktor rozważali: jakim sposobem można pogodzić niejako nieszczęścia nie zasłużone z działaniem Opatrzności.

— „Ach panowie, toć to bardzo proste zawołała Adda. Gdyby Bóg dobrym zysłał szczęście, którego są godni, cóżby zostało dla niekczemnych? Ostatnie słowo padło jak uderzenie na policzek doktora; panna wymawiając je rzuciła spojrzenie zmierzające do celu, p. Marchaul zerweniła się, Klara przygotowana do odejścia, pytała go się oczami: mąż został. Kanonik i garbarz nie wiedzieli co robić, a ostatek objadu ściał lodem całe towarzystwo, Adda mogła spodziewać się przyzwotej nauczki, lecz rada była podwójnie uciec przed podobne przewinienie. Kiedy współbiesiadnicy weszli do salonu, skupili się koło pięknej biblii, którą pastor zakupił rano. Było to wydanie z XV wieku, lecz oprawione daleko później dla kapituły *Neuviller*. Ktoś zauważył że klamry srebrne były za ciężko i bez smaku wykonane.

— To nic nie znaczy; odrzekła Adda, panu Marchaul i tak będą się podobać.

Professor spytał naiwnie: dla czego?

— Bo to srebrne panie Marchaul odpowiedziała panna.

Na szczęście obiadowała jedynie rodzina i młode małżeństwo. Starzy dziadkowie domyślając się tajemnicy serca Addy, niepokoiłi się myślą czy czasem ich wnuczka nie zwarjowała. Profesorstwo zostali jeszcze czas pewien, nie chcąc raptownem wyjściem dać pozorów do skandalu, ale Klara na wychodnem przezeńnęła dom znakiem świętym z postanowieniem nie wrócenia doń nigdy. Ani przeprosiny kanonika, ni lzy żony nie mogły przełamać uporu obrażonych. Marchaul rzekł do p. Lauth.

— W tem wszystkiem tylko pan jeden jesteś winien.

— Na mojem miejscu, żaden ojciec rodziny nie postąpiłby inaczej.

Zerwanie stosunków nie wstrzymało bynajmniej kroków nieprzyjacielskich. Wszędzie gdzie panna Lauth spotkała dawnego zalotnika, prześladowała go gryząca złośliwością. Nie były to napady wprost bijące i brutalne, świątby się na nie poruszył, — lecz docinki nieznaczne ale kłujące. Nie rozmawiano z sobą lecz kłaniano się z wymuszoną grzecznością, poczem Adda zwoływała do siebie grono młodzieży z ręcznem użyciem kokietery, nadawała ton rozmowie, a szczebiocząc głośno, rozrzuciła na około chmarę złośliwości o nieszczęsnym profesorze. Nie nazywając go, nie oznaczając niczem coby otworzyło oczy niedomyślnym, otwierała różowe usteczka i białe ząbki po to tylko żeby mu dokuczyć. Doktor i żona rozumieli ją wybornie. Lekarz — widząc ją wchodzącą do salonu, trzymał się ostro, nastawiał uszy, zaprawiał dowcip, — pobudzał odwagę, — gdyż godność osobista nie pozwalała mu kryć się albo uciekać, — zresztą był związany tym koniecznym łańcuchem następstw grzechu, które pocziwemu człowiekowi każą połknąć truciznę zawartą w liście bez podpisu. Zadawałniał się rumieńcem, bladeścią, poruszeniem ramion, a czasem otarciem spoconego czoła. Możliwe było wątpić o jego rozsądku, gdyby nawiedzał towarzystwa dla własnej przyjemności.

Żona z początku współczuła cierpieniom męzowskim, częściej wszelako gniewała się widząc go zażetego Addą. „Ję tylko słuchasz mówiła. Na nią tylko patrzysz! W ciągu trzech godzin trzy razy tylko spojrzales na mnie. Jeśli dla ujęcia cię potrzeba koniecznie nienawiści; — dobrze i ja spróbuję. Nie, nie, — poprawiała się obejmując go za szyję, — ja cię kocham! a gdyby złośliwa Adda Lauth cię pojęła, nie byłbyś moim mężem. Okropna rzecz myśleć o tem. Więc nie myślę ani myśleć nie będę już nigdy! Pocałuj mnie!

Najwięcej podnosiło rozdrażnienie Klary to, że widziała Addę otaczaną ciągle wzrastającymi względami i pochlebstwami, — panna Lauth piękniała. Pożerające ją ognie ciskały dziwne na twarz płomień. Bezkończona paplanina, — wysoki złośliwego dowcipu, podobaly się bardzo mężczyznom. Nigdy dotąd nie słyszano podobnej solistki w salonach Strasburskich; — zastępca sędziego Pastowrian oświadczył: że Adda ma w sobie wiele obyczaju paryzkiego. Kiedy złościca kwitła, Klara ze smutkiem przyglądała się w zwierciadle.

Zdawało się jej, że jest brzydką, cierpiała nad tem bardzo, a nie śmiała głośno wyznać powodów. Nie było ciekawszego nad spotkanie dwóch nieprzyjaciółek; — spoglądały na siebie oczami tryumfu, jedna: ze swęj piękności dziewczęcej, druga pyszna czekającami na nią obowiązkiem matki.

Klara została nią wreszcie i Bóg dał jej syna, zostawiam twemu domysłowi czy go pokazywała lub nie, wszystkim znajomym i nieznajomym. Cały Strasburg znalazł dzieciaka przecudownym, jednakże do zupełnego tryumfu brakło jeszcze czegoś — t. j. pochwały Addy. Kto zna prowincję przyznać musi, że wiele dyplomacji ręcznej mieści się w nienawiściach. Aby dojść do celu pani Marchaul kazała mamce nosić malca po placu, stykającą się z domem Lauthów. Niepodobna żeby żona i córka kanonika, spostrzegłszy nieznana wieśniaczkę i dziecko otulone jak książkę, nie wyszły obejrzeć i zapytać się o nazwisko rodziców. Ale zaledwie mamka nazwała panią Marchaul, panna Adda nagryzła wargi i rzekła. „Powinszuj rodzicom odemnie, patrzaj ta małpeczka ma palce pokrzywione.“

Mamka powróciła we łzach, a doktorowa obrażona w własnej i dziecka godności krzyknęła. Czyż nikt nie zdusi tej żmii!

— Kochanko moja, wcale nie życzę jej śmierci, niech tylko pójdzie za mąż, wtedy koniec naszym przykrościom.

Niedługo potem dzienniki z za Renu doniosły o panującym w miasteczku Hochetejmie w Bawarii śmiertelnym tyfusie. Lekarze, cyruliki słowem: wszystko co utrzymuje życie pomarło. Dwóch doktorów przybyłych z Monachium na pomoc wyniosło się na tamten świat w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Marchaul wynalazł jakiś skuteczny środek przeciw tyfusowi, pierwsze doświadczenia udały się, lecz brakło sposobności do szerszego zastosowania lekarstwa. Pojechał przeto do Hochetejmu mimo przedstawień przyjaciół i placu małżonki. „Gdybym był oficerem, rzekł do Klary, czyżbyś mi przeskodziła biec się? Moja droga nieprzyjaciół obojuje w Hochetejmie tedy biegnę na stanowisko!“

Po sześciu tygodniach wrócił zdrow i tłusty, ocali-



szy co się w zagrożonym mieście jeszcze zostało przy życiu. Czyn odwagi z taką prostotą dokonany, narobił wiele hałasu. Król bawarski napisał własnoręczny list do pana de Marchaul, przyznając mu tem samem prawo szlachectwa i sześć tysięcy rocznej pensji ze skarbu państwa.

Profesor odpowiedział w wyrazach pełnych uszanowania i powagi, że przyrostek *de* nie przystaje do jego nazwiska, co zaś do pieniędzy, te godniejszą usługą osłabionym i sierotom w Hochetejnie. W tym samym czasie prefekt z Nad Renu, złożył doktorowi podziękowanie i zapewnił o przedstawieniu do orderu. Marchaul prosił gorąco, ażeby krzyż ofiarowano doktorowi Laugenhausen, starszemu i zasłużonemu, a co najważniejsza czystej krwi francuzowi.

Te postęпки wzbudziły oklask ogólny. — Strasburg był dumny z posiadania takiego obywatela, — jedna tylko osóba przeczyła w głębi serca powszechnemu zachwytowi, — domyślasz się która. Nie mogła uwierzyć, aby tenże sam człowiek mógł na raz pełnić zło i dobre, — sprawiedliwe i kłamliwe, — że był zdolnym do wzniosłej bezinteresowności i podłości. Jednem słowem, nie mogło jej się w głowie pomieścić, że można zawinąć jej, nie zawiniwszy świata całemu, — taką jest łaska kobieca. Nie mogąc jednak z zasady potępić czynów Marchaula, szukała ujemnych stron i nie znajdowała, co ją gniewało tem więcej. A ponieważ profesor Marchaul stał się poniekąd prokiem okolicy, nie wypadało więc pastwić się nad nim jak dawniej beznarażenia się na ukamienowanie: zmieniła tedy nutę i zaczęła wielbić bohatera z najkomiczniejszą amizją. Wynalazła tak śmieszny sposób zachwytu, tak dowcipnie i złośliwie przekręcała sypiące się zewsząd pochwały, że po trzech miesiącach zaszczytnej pracy, patrzano na zbawcę Hochetejmu jak na dobrodusznego błazna. W krótko potem starszy brat Henryka popadł od pewnego czasu w trudne obroty. Los odwrócił się, kłopoty były tej wagi że biedny człowiek nie mógł przyjechać na ślub brata. Czekano na niego aż do ostatniej chwili, w której odebrano list następującej treści: „Wzwał jest tak ściśnięty że gdybym wyjechał dziś do Strasburga, powiedziałoby się iż uciekam za granicę.“ Poprawił chwilowo stan interesów, użył reszty kredytu, walczył bez nadziei, spróbował kilku przedsięwzięć i padł na wyłomie. Nie można było dowiedzieć: czy umarł z choroby lub też inaczej, akt zejścia doszedł do rąk Henryka wraz z listą upadłości i nazwiskami wierzycieli, najbiedniejszych lub najbardziej narażonych. Po pięciu minutach namysłu, doktor i jego żona napisali do syndyka, że przyjmują spadek.

W tym czasie nieświadomości i prostoty mieszczanśkiej, upadłość nie przedstawiała nigdy tak olbrzymiej liczby, jaką nawykliśmy dzisiaj podziwiać. Posag Klary i dom na nadbrzeżu wystarczał na pokrycie bankructwa, szło, o ile sobie przypominam, o dwakroć sto tysięcy franków. P. Akstmann zaprzęta o pozwolenie po załatwieniu się. Stary krzychał na zięcia: że niszczy córkę a synowi gotuje przyszłość szpitalną, lecz Henryk zwrócił uwagę iż zmarłemu bratu winien wszystko, że zarabia dosyć na utrzymanie dostatnio domu, co zaś do syna woli mu zostawić mniej pieniędzy a imię bez plamy. Ponieważ papa Akstmann był dobrym człowiekiem, uznał w krótko że zięć postąpił godnie i że później naprawi się ten uszczerbek.

Gdy się dowiedziano o ostatniej cnotliwej czynności Marchaula (a wieści w małym mieście rozchodzą się z szybkością błyskawicy) panna Lauth otworzyła oczy. Przypomniała sobie że doktor od dzieciństwa postępował godnie, jednym rzutem wzroku objęła wypadki ostatnich czasów, i widziała tę zaność otoczoną zawsze blaskiem heroicznym. Jedną rzecz tylko t. j. małżeństwo dla pieniędzy brudziło dziwną sprzecznością, czyste życie, Adda powiedziała sobie po raz pierwszy: iż mogła się omylić, a ta wątpliwość poruszyła do głębi szlachetną duszę, więc prześladowała niewinnego człowieka to okropne! A dalej podanie się Henryka, cierpliwość z jaką zniósł tyle obelg publicznych, wszystko, wszystko wydało jej się wspaniałem.

Na odwiedzinach z ciotką Miller u pani prezesowej, oślepiło ją światło jak kiedyś S-o. Pawła. Dobrowolna ruina Marchaula, była ogłoszoną przez panią Mengas, żonę szanownego i kochanego mego pryncypała, oddawna już spoczywającego w Bogu. Nam bowiem polecił profesor podniesienie posagu, sprzedaż nieruchomości i wysłanie zabranej kwoty do Paryża; — ja spisałem kontrakt nowego mieszkania, jakie wynajął na placu Austerlitz.

W miarę opowiadania szczegółów przez panią Mengas, Adda mięszała się i niecierpliwie kręciła na krześle, — wkrótce nie mogła dłużej wytrzymać, wstała, pożegnała się naprędce uprowadzając z sobą biedną ciotkę. Miały jeszcze odbyć kilka wizyt i sprawunków jako to: zakup rękawiczek i wstążek na bal do prefektury tegoż wieczora, lecz zapomniawszy o balu i biegnąc do domu ile tchu starczyło. Obledała całe mieszkanie szukając matki, a znalazła ją w składzie bielizny, nie zważając na obecność ciotki Miller i dwóch praczek największych plotkarek w Strasburgu, zapytała wzruszona panią Lauth:

— Matko! zaklinam cię na zbawienie duszy! powiedz mi prawdę. Czy pan Marchaul oświadczał się o mnie?

Kanonikowa złapana z nienacka, stała chwilę z otwartymi ustami. Radaby poradzić się męża, który był najrozsunniejszą głową całej rodziny, a w oczekiwaniu myślała nad pół-środkiem nie mówiącym ani tak ani nie, bo kłamać nie potrafiłaby za żadne skarby. Lecz Adda nie pozwalała na zwłokę, — stała też podniesiona, mocna, jasniejąca prawie, w uniesieniu przeżywała ją błyszczącym wzrokiem i powtarzała. Odpowiadaj — odpowiadaj! Być może że pani Lauth oparłaby się, może pamiętna na prawa macierzyńskie, skarciłaby nieprzystojny napad córki, ale twarz Addy rozogniona, pomieszana — straszyla ją, lekka się nerwowych cierpień, więc wzruszona bąkała pod nosem: To już tak dawno!... Byłaś za młodą dla niego!... Cóż ci na tem zależy dzisiaj, kiedy się z inną ożenił.

Adda zalała się łzami, objęła matkę za szyję. Dziękuję, dziękuję, i szybko posunęła się do swego pokoju. Pani Lauth i ciotka Miller, niespokojne bardzo, poszły za nią.

Biedne dziewczę siedziało pochylone nad pismem Świętem. Pocieszone, odeszły.

Rodzice Lauth, mimo całej pobłażliwości, obawiali się o zdrowy rozum córki. Jej postępowanie i mowa przechodziły nieraz granice przesady, śmiała się, płakała a szczególnie drażniła ją wszystko bez powodu i miary. Napad ostatni zatrwożył rodzinę, — kanonik uznał iż nadszedł czas użycia kroków stanowczych. Zawołano garbarza i jego żonę, posłano po wikarego i odbyto naradę na drugim piętrze pod wodzą dziadka. Jedni byli za rozrywką i wysłaniem Addy do Włoch, inni w małżeństwie widzieli jedyne lekarstwo. Ale jakże ją wydać za męża, kiedy nie okazuje najmniejszych usposobień? Starających się, dzięki Bogu nie brakło. Od roku odrzucała ich półtuzina. Wczoraj jeszcze, jeden z przyjaciół kanonika podał kandydaturę niejakiego p. Courtois, ładnego chłopca, doskonałego tancerza, radcę w prefekturze i jedynaka zamożnej rodziny. Ale biedny p. Lauth był tak złamany, że nawet słowa o tem córce nie powiedział. Stary Lauth zganiał postąpienie syna junior jakkolwiek kanonika i przypomniał starą zasadę: Nie odkładaj na jutro, co wczoraj mogłeś zrobić. Taki był obyczaj za dawnych czasów, dziś wszystko zmienia się na gorsze. Naczelnik rodziny kazał zawołać Addę przed stary fotel, wyrzucił jej postępowanie, zalecił wybór męża bez zwłoki i oświadczył zamiary p. Courtois, którego popierał.

Oczekiwano jakiegoś wybruku lub co najmniej oporu, lecz Adda zdziwiła rodzinę powolnością i uszanowaniem, z jakim wysłuchała bury. Powiedziała że to wzór posłuszeństwa dziewczęcego, gdyż nikt nie dojrzał złośliwego uśmiechu błyszczącego chwilowo pod jedwabną rzęsą.

Wieczerała ze smakiem, ubierała się troskliwie i weszła bardzo piękna do prefektury. Wejście jej sprawiło wrażenie, jak zwykle, pozwoliła się podziwiać i powiedła spojrzeniem po salonie. Kiedy znalazła co szukała — siadła około matki czekając na taneczników. Pospieszny p. Courtois zaprosił ją do pierwszego walca. Tańczyła prześlicznie, lecz kiedy ją kawaler odprowadził na dawne miejsce, rzekła: Proszę mnie odprowadzić nieco dalej koło doktora Marchaul.

Pan Courtois podniósł głowę do góry jak kogut dobitwy, — pokręcił wasy i błysnął oczami. Nienawidził panny Lauth do nieszczęsnego profesora — nie była mu obca, — uczył się kilka lat bić na szpadę i rad był ze sposobności popisania się jako obrońca panny, — to mogło mu wielele dopomóc. Kiedy Adda była blisko nieprzyjaciela, nasrożył się, wysunął jedną nogę naprzed, jak człowiek gotów na wszystko — aż oto nastąpiła rozmowa, której wysłuchał.

— Panie Marchaul czy zechcesz łaskawie podać mi ramię na chwilę?

— Ja?... pani?...

— Ja pana proszę... bardzo proszę...

— Narażę się na wszelkie kłęski, byle być posłuszną kobiecie. Służę pani.

— Dobrze, byłam pewna że pana tu znajdę.

Pożegnała p. Courtois końcem paluszków i przeszła przez ogromny salon wsparta na ramieniu profesora. Cały Strasburg spoglądał zdziwiony na tę nadzwyczajną, niepodobną parę. Klarze zdawało się że śni. Mający lornetki przecierali szkła. Orkiestra pomyliła się.

Kiedy doszli do końca salonu, p. Marchaul przemówił pierwszy.

— Jeśli to zakład — wygrałaś pani.

— Nie — to co innego panie Henryku. Co pan myślisz o tym młodym człowieku, który tańczył zemną przed chwilą?

— Ja... zupełnie nie.

— Sądzi pan, że on może uszczęśliwić kobietę? Oświadczył się o moją rękę, rodzice przyjęliby go z chęcią, ale ja go nie znam i nie mam sposobu poznania. Więc pytam się gdybym była pańską siostrą zamiast nieprzyjaciółką, czybyś mi radził zostać panią Courtois?

— Nie pani.

— A dla czego?

— Gdyż to jest gracz, grubijanin i obłudnik. Najprzód utraci majątek pani, następnie bić cię będzie, a w końcu dowiedzie że pani i jej rodzice pomyliliście się.

— Tak lubię, dziękuję. A z liczby innych moich wielbicieli, czy wybrałbyś pan choć jednego, zasługującego na zupełne zaufanie?

— Owszem, kapitan Chateix, złote serce, moralność niepospolita, i wielka przyszłość w inżynierstwie. Aleś mu pani odmówiła?

— Tak, ale on mnie kocha jeszcze, i wróci kiedy go zawołają. A więc kapitan będzie moim mężem, Biorę go z twoich rąk panie Marchaul i proszę uważać to jako znak zaufania, szacunku i szczerzego żalu za wszystkie przykrości, jakie ci wyrządziłam. Zaprowadź mnie pan teraz do Klary?

Kiedy szanowany notariusz Zimmer domawiał tych słów, a ja byłam gotów słuchać i długo jeszcze, kosi się zatrzymał. Stanęliśmy przed oberżą *pod Łabędziem*. Nasi towarzysze wysiedli z powozów i bili stopami w ziemię dla wyprostowania nóg a woźnice wyjmowali strzelby. Dwudziestu lub dwudziestu pięciu obławników, pod rozkazami starego strzelca, oczekiwało na nas w dziedzińcu. Dwa psy gończe na smyczy płakały jak dzieci z niecierpliwości. Gospodarz *Łabędzia* ukazał się na progu z futrzaną czapką w ręku. Powitał nas uprzejmie i rzekł: Białe wino odkorkowane, zupa na stole, a omlęt na ogniu. Nie było czasu do stracenia, dziesiąta godzina uderzyła a o czwartęj zachodziło słońce. Każdy pobiegł do śniadania, jadł, pił, napełnił manierkę, zapalił torebkę, zapalił fajkę lub cygaro, podniósł kołnierz na uszy — i na łowy!

Nikt nie myślał więcej o profesorze Marchaul ani o córce kanonika, lecz o hultaju zając, który uciekał przed nami, brzuchem dotykając ziemi, myląc ślady i narażając na wiele chybionych strzałów. Zaczny amfition i naczelnik łowów był na ciągle usługi gości i z pewnością nie odpowie Bogu za wyznaczenie złych stanowisk.

Przypadek zbliżył mnie do niego, napierałem się o koniec powieści.

— Myślałem że już skończył, odrzekł, resztę łatwo zgadnąć. Adda Lauth wyszła za kapitana Chateix i żyła z nim tak po chrześcijańsku jak Marchaul z Klarą. Córka kanonika, i doktor poculi: że Bóg ich nie stworzył dla siebie, gdyż byli szczęśliwi rozdzieleni.

— Dobrze — lecz co się stało z innemi pocziwcami?

— Byli długo w dobrej i szanownej przyjaźni. Cóż ci więcej powiem? Wiesz dokąd zmierza bieg rzeczy tego świata, i że wszystkie istnienia radosne i smutne spokojne lub trapione, dobiegają do jednego kresu, którym jest starość, choroba i śmierć. Nie można jednak zapomnieć o ciekawej uwadze doktora.

Pewnego wieczoru oba małżeństwa wychodząc z teatru zastanawiały się nad słowami z komedji: — ja ci przebaczam, ale ty mi to zapłacisz! Adda utrzymywała, że kobieta nie jest zdolna przebaczyć bez zastrzeżeń.

— Naprzykład, rzekła zwracając się do doktora, gdybyś mi pan wywdzięczył się choć w czwartęj czę-



ści za wszystkie przykrości, — wtedy z pewnością zawarłabym pokój, — ale zapomnieć — to niepodobna. Czyż wspomnienie nie przychodzi panu nigdy na myśl.

— Czasami.

— I nie chciałbyś mnie wtedy nienawidzieć?

— Przeciwnie — całem sercem jestem pani wdzięczny i składam w duszy podziękę.

— A to już zanadto!

— Tylko słusznie. Uwielbiasz mnie pani za kilka czynów jakich dokonałem, a jednak z całą otwartością powiem, że kto wie czybym je dopełnił, gdybyś mnie nie zmusiła do zdobycia twego szacunku kochana pani Chaleix. Na tym świecie wszystko się dziwnie płacze i choć niepojęte, zawsze harmonizuje z ogólnym porządkiem. Jeżeli więc Opatrzność nie tem darzy o czem się marzy, mamyż płakać i narzekać? Przyjaźń i miłość dwa święte uczucia ale niezmienne różne, można być dobrym przyjacielem a nieznośnym kochankiem, można być zacnym człowiekiem, a nudnym mężem aż do desperacji. Wszystko to względne zależące od osób. A wreszcie czas tak szybko biegnie że oglądać się po za siebie, szkoda i jednej chwili.

Pienkowski.

## LISTY

O LITERATURZE I LITERATACH WARSZAWSKICH.

### List III.

Treść. Dramat u nas — Floryan-Livia Quintilla — o cenie talentu poety — Biały welon — ogólny rzut oka.

Wśród niepospolicie bogatego rozwoju literatury naszej, dotąd jakoś naprawdę na dramat zdobyć się nie mogliśmy.

Ztąd też oddawna już rozlegają się skargi i wołania o dramat — lecz kto go wyśpiewa?... przyszłość okaże. Próbkę, usiłowania i porywy, powiedzmy prawdę, są dotąd tylko próbkami. Czy talentu brak? tego nie powiem.

W pierwszych dniach 1867 roku ukazał się w druku dramat Floryana (Stanisława M. Rzętkowskiego) p. t. *Livia Quintilla*. O nim chcę ci teraz parę słów powiedzieć jasnoooka panno moja i o poecie, który go stworzył w szczęśliwej chwili natchnienia. Dobry to znak, że młode piersi wysnuły z siebie tę mistrzowską nić, małą, drobną ale przedziwnie piękną w sobie samą. Nic tu ująć, nic dodać nie można — całość wygląda jak grecki posąg marmurowy, piękny klasyczny, wspaniały!.. Posłuchaj czarnych dziejów tego dramatu i osądź sama.

„Już się ma pod koniec starożytnemu światu — bogowie i ludzie szaleją.“ a chociaż autor nie powiada nam w jakiej chwili rozgrywa się rzecz, przecież czuć w całej treści zgniliznę rozkładającą społeczność starą. Livia bogata, piękna i młoda Rzymianka zakochała się w niewolniku swoim „jak Apollo pięknym“ Licyniuszu, tęsknym i rzewnym śpiewaku, którego pieśni rozrywają czarne godziny dumnej Romy córki. Posłuchaj co sama o tem mówi, a to posłuży ci zarazem do charakterystyki talentu poetycznego Floryana:

„.....Tę jego pieśń pragnę mimowoli.  
Niewolnik smętny taki urok ciska,  
Że chociaż w piersi дума mnie zaboli,  
To nad nią jaśniej iskra uczucia błyska.  
Strwożona jestem, kiedy tu przybywa....  
Drżę.... gdy szat jego cichy szelest słyszę...  
A jednak, pieśnią w tajemniczą ciszę  
Gdy bawi Liwio.... Livia jest szczęśliwa.“

Niewolnik przychodzi i scena jaka następuje (szósta z kolei) jest po końcowej najpiękniejszą w dra-

macie. Przytoczę ci tu słowa Licyniusza, wypowiedziane rymem białym co nadaje dziwnie wielką powagę całemu dramatu:

„.....Więc niewolnik Liwio,  
Czy sądzisz, nigdy nie uczuje silniej?...  
Więc nigdy, nigdyż szlachetniejsze chęci  
Nie wzruszą piersi, opętanej bólem?  
Kark do pokłonów przyuczony podłych  
Już się nie wzniesie do godności ludzkiej?...  
O! gdybyś Liwio ty posłuchać chciała  
Tych tajemniczych głosów mojej duszy!...“

albo:

„..... Rozhukana dusza  
Do świata rwie się, co uludą świeci.  
W tych błędnych torach czuje żem ja wolny....  
Potęgą dziwną drga pierś i uczuciem....  
Już nie nie zdola zwrócić i skrepić  
Szalonej woli,.... ani myśli lotu  
Od celów wzniosłych nie odciągnie.... Liwio!..  
Głos tajemniczy co mi w duszy woła,  
Szlachetnym takim dźwięczy mi rozkazem:  
Idź naprzód.... śmiało.... z czoła już to piętno  
Zniknęło, które niewolnictwem znaczy....  
Twój cel uzacnia i podnosi ciebie...  
A jam uwierzył tajemniczym głosom....  
O! bo ja, Liwio! bo ja kocham ciebie!

Silwa drugi niewolnik, którego Liwia kazała za jakieś przestępstwo osmagać różgami, kreacja nikczemna, podła, wydaje tajemną jej miłość przed Prokulem pretorem rzymskim, który pragnie ją posiadać. Wypadek, czy los, czy fatalność wreszcie, która drzemie w toniach dramatu, daje mu w rękę dowody, że Liwia jest córką niewolnicy i jako taka sama nią być musi. Prokulus daje jej do wyboru, albo niewolnictwo którego on będzie panem, albo śmierć Licyniusza, poczem Liwia ma zostać żoną Prokula. Liwia umiera wraz z ukochanym, przekładając śmierć nad sromotę. Silwa kończy dramat, straszliwym śmiechem i słowami:

„Ten trup.... ha, ha, ha!.... do mnie on należy!“

Powiedziałem, że fatalność, *anankę* straszliwa wi- si ponad niebem dramatu — ależ to świat stary, więc i stare jego przywidzenia a może prawdę należało wsunąć w treść utworu. Wszystkie postacie są pięknie i śmiało narysowane — charaktery utrzymane, usilne miarkowanie się by zasie wyobraźnia nie roz- hulała się nadto w tym krwawym obrazie. Zimno wieje z tego dramatu — zimno marmuru. Zda ci się, że posagi zeszły z piedestałów swoich i słyszysz ich chód koturnowy i widzisz ich piękność klasyczną, ale ich kochać nie możesz. Młody poeta kreśląc te postacie stał w sobie wszystko to co jest jego własnością. Jego kreacje płaczą i torturują się na scenie ale z poza nich nie dojrzysz bladłej twarzy poety. Ta obiektywność, stanowiąca istotę Szekspirow- skiego geniuszu, jest według zdania najznakomitszych estetyków, szczytem talentu poetycznego. To prawda — ale cóż serce mówi?...

I ona to właśnie jest także treścią talentu Floryana. Nadaje mu to odrębne całkiem stanowisko względnie do innych poetów, do owych dwóch miano- wicie o których ci poprzednio mówiłem. *Ja* u Floryana ginie — nigdzie go nie dojrzysz — a jeśli kiedy śpiewa o sobie, to tak zimno!... W skutek tej obiek- tywności poeta nie ma prawie nigdzie uczucia — na- wet w drobnych utworach, które zwykle u młodych opiewają egotyczne dzieje. Zimny! zimny i zawsze zimny!.... czyż tam w tej piersi młodej brak już ideału?...

Jednakże jakkolwiek wam piękne moje panie, mo- że się nie podobać tego rodzaju talent, to przecież Floryan — jeśli nie złamię wcześniej orlich swych skrzydeł — może ująć to stanowisko o którym w po- przednim liście mówiłem, dając za przykład Spartań- skiego wieszca, Tyrteusza!.... Język twardy, niby ze stali kuty, odpowiada całkowicie temu usposobieniu poety. Floryan naprawdę nie jest poetą, jeżeli uczu- cie i boleść, są główniejszymi podstawami poezji.

Przytoczę ci tu dla lepszej charakterystyki tego poety, parę ustępów z wiersza p. t. *Biały welon*.

„Dla kogo welon?... do ślubu czy trumny?...  
Skryjże rumieniec, czy pobladłe lica?...  
Czy go radośnie powita dziewica,  
Czy los garsz prochów pokryje nim dumny?...  
Powiedz mi prządko!...“

Ale prządko płocha

Widać się skonu nie lęka — nie kocha.

Mileczy zawzięcie — tylko modre oczy

Wdzięczy uśmiechem i piosenkę nuci.

I białą tkanę paluszkami toczy

I coraz nitkę za nitką przetrzuci.

Powiedz ty tkanko bielutka jak śniegi,

Jestżeś zasloną rumieńca czy skonu?...

Czy skroń tętniącą ujmiesz w swoje brzegi —

Czy śmiertelnego weźmiesz kształt welonu?

Lecz tkanka mileczy.... więc któż mi odpowie?...

Widzisz więc sama, ukochana pani moja, że poeta nawet w utworach mniejszych, utworach które same z siebie nasuwają lęz do oka, tętnią bólem doli ludz- kięj, jest refleksyjny, zimny....

Przypatrując mu się więc pilnie, sądząc wreszcie po Liwii Quintilli, jestem prawie przekonany, że Flo- ryan przetrzuci się wyłącznie na pole dramatyczne i będzie go uprawiał — czy dobrze, rzecz to inna i należąca do przyszłości a nie do mnie.

Floryan napisał bardzo wiele drobnych poezji, ar- tykułów prozą do Tygodnika Ilustrowanego gdzie obecnie pracuje — ale przytaczać ci ich lub po szcze- gółe o nich mówić nie podobna, choćby dla braku miejsca. Teraz podobno przygotowuje na scenę Ro- mea i Julię Szekspira, którego to przygotowania wi- dzieliśmy wcale udatne próbki w *Wędrowcu*.

Walery Przyborski.

## PRZEGLĄD

### LITERACKI, ARTYSTYCZNY, TEATRALNY

I RÓŻNE WIADOMOSCI.

**Biblioteka dla młodocianego wieku** Serja I. tomik pierwszy pod redakcją p. Joanny Belejowskiej. Obejmuje trzy powiastki tłumaczone z francuzkiego w których cudowność fan- tasytyczna wzięta została za motor poruszającego wątkiem całe opowiadanie. Nie wdając się w roz- biór kwestji, co lepszym, właściwszym jest w pracach podobnego rodzaju, czy fantazja czy rzeczywistość? ograniczymy się na uwadze, że cudowność w powiast- kach tak dla dzieci jak młodzieży wielce jest używa- ną zarówno przez francuzkich jak niemieckich i an- gielskich pisarzy. Musi więc posiadać odpowiednie zalety, ale koniecznym jest przyodzianie jej wdzie- kiem poetycznym, aby fantazja uplastyczniając po- rwy duszy skłonnej zarówno do złego jak dobrego, po- nęty świata i jego obowiązki, zaciekała, miłe wywoływała wrażenie, przywiązywała do siebie, a nie dopuszczała obrazów strasznych, zbyt drażnią- cych umysł młodociany.

Cudowność użyta w powiastkach spolszczonych przez p. Belejowską posiada właśnie te niezbędne za- lety. Występujące w nich wróżki tak miłe i po- nętnie są przedstawione, takim otoczone wdziękiem i ser- decznością, że je pokochać koniecznie trzeba, a i dłu- go zapomnieć nie można. Nie przybierając na siebie barwy fatalności, zdają się uosabiać opiekę Opatrz- ności, która pragnąc dla ludzi dobrego, chce aby to dobro spłynęło przez własną zasługę. Jest więc walka, staranie pokonywania złych popędów i skłon- ności, w końcu nagroda zwycięstwa, w której cudo- wność znika a zostaje przekonanie że bohaterowie istotnie na nią zasłużyli. Tak więc użyta fantazja jest na swoim miejscu, zwłaszcza że wielce przyczy- nia się do ożywienia opowiadania i nadania mu po- nętniej formy, tak w podobnych powiastkach po- żądanej.

Powiastka p. t. *Miłość matki* kończąca tomik pierwszy tego pożytecznego wydawnictwa, choć naj- krótsza, zaleca się jednak szczególną pięknością for- my. Występuje w niej matka, która ukończywszy ziemską pielgrzymkę, prosi anioła przyjmującego du- sze zmarłych, aby jej nie brał do nieba jak to zapo- wiedział, ale dozwolił czuwać na grobowym kamieniu i otaczać opieką dziatki pozostałe jeszcze na świecie. Bez dzieci moich, powiada matka, niebo nawet nie byłoby mi niebem. Anioł zgadza się na prośbę, i matka pozostaje w cmentarni otoczeniu, przy- muje kolejną umierającą dziatki, koł i cierpienia, uśmierza boleści, cudownymi lekami u anioła wypro- szonymi, i kiedy wszystkie zebrała w około siebie,



osłoniła je dopiero długą białą suknią i obejmując jednym uściskiem, razem z niemi uleciała do nieba. Myśl prześlizgnęła, a matka z miłości dla dzieci przekładająca przez długie lata pobyt na cmentarzu, nad rozkosze przeznaczonego jej nieba, któregoż z młodych czytelników nie wzruszy, i nie natechnie serdecznym przywiązaniem do swjej rodzicielki?

W drugim tomiku, który już wyszedł jednocześnie z pierwszym, zamieszczone dwa opowiadania, zdają się być osnute na czystej rzeczywistości. Nie dajemy o nich sprawozdania bośmy je dopiero przejrżeli a nie przeczytali, w następnym numerze obszerniej o nich pomówimy.

**Obrazy na wystawie zachęty sztuk pięknych.** Akwarella pana Kosaka niewielkich rozmiarów, przedstawia na śniegu zimową porą polowanie na lisa z chartami na podjazdki. Zwykle odbywa się ono w tegi mróz, kiedy lis zbiedzony zimnem i głodem przyciśnięty, szuka rozpaczliwie pożywienia po drogach i ścieżkach. Mniej wówczas baczny na swoje bezpieczeństwo, zajęty głównie trapiącym go niedostatkiem, nie unika ludzi i śmiało przesuwają się po polach bliżej dróg położonych. Myśliwi więc znając takie chwile niebezpieczeństwa lisi, na sankach z parą dobrych chartów, wyruszają na polowanie i upatrzywszy zwierza wypuszczają psa ze smyczy, które zwykle wychodzą zwyciężko w gonitwie za uciekającym poniewczasie junakiem.

Z dziejów tych myśliwskich p. Kossak obrał najmniej malowniczy ustęp, bo chwilę już duszenia przez charty zwierza, któremu dwóch myśliwych powstrzymując spłoszone konie, opatuleni w ciepłe ubranie przypatrują się z zapalem prawdziwie myśliwskim. Artysta pragnąc brak dramatyczności w głównym szczególe wynagrodzić, nadał ją spłoszonym koniom, które powstrzymywane silną ręką myśliwca, rwąc się i wspinając jedyną możliwą powódź zwracają na siebie uwagę. Gdyby artysta był przedstawił gonitwę za lisem, ścigającą zjadale charty, lisa smyrgającego z całą wiedzą niebezpieczeństwa, a za tem wszystkim pędzące sanie w rączym biegu dzielnych rumaków, obrazek mając więcej życia, zajęcie obudziłoby większe. Koloryt zato wyborczy, śnieg grubą warstwą wszędzie zaściela ziemię, a naróż czujesz i słyszysz skrzypienie sani po zamrożonej drodze.

Panny Dukszyńskiej dwa portrety: dzieci i owoce świadczą wymownie o pracowitości tej zdolnej artystki. Portrety przedstawiają dwie dziewczynki, jedną brunetkę z czarnymi oczkami, drugą blondynę z niebieskimi. Obie ubrane w białe sukienki ozdobione niebieskimi wstążkami, brunetka tylko ma włosy ułożone, a blondynka rozrzucone w kędziarach jakby ufryzowane. Obie także choć zupełnie do siebie niepodobne równie łagodne jak miłe, i z tą prawdziwie dziecięcą niewinnością, z wielkim talentem przez artystkę oddane, praca to bardzo piękna, i może z obrazów p. Dukszyńskiej najwięcej zawierająca w sobie prawdy.

Ale i owocom tej prawdy równie nie brakuje, a chociaż zawsze ponętniejsze naturalne, miło jednak popatrzyć się i na malowane, zwłaszcza gdy w tak pięknym doborze są przedstawione. Jest tam arbuz rozkrojony, pobłyskujący słodyczą jaką wytryska z jego czerwonego środka: jest i melon pachnący ponętnie, winogrona białe i czarne a przy nich rumiane brzoskwinie ukradkiem spoglądające. Nad tem wszystkim unosi się ptaszek, troszkę z pierzem poturbowanym, ale za to z otwartym dziobkiem wprost ku tak ponętnym przysmakom skierowanym.

Portret młodej dziewczyny p. Paprockiego i mężczyzny p. Millera, także należą do prac stanowiących prawdziwą ozdobę Wystawy. Portret mężki znany nam w oryginale, zaleca się wielkim podobieństwem i prawdziwie artystycznym obrobieniem, co choć od wzoru nie odstępuje podnosi jednak go i darzy dodatnio wszystkimi tajemnicami sztuki.

Portret młodej dziewczyny p. Paprockiego jaśnieje wielką delikatnością pędzla i oddaniem uroczego wdzięku, jaki jaśnieje w oczach i całym wyrazie twarzy osoby portretowanej. Podobieństwo zdaje się być niewątpliwe.

**Prelekcje prof. Lewestama.** Jan Chrzciciel Mollière najznakomitszy komedjopisarz francuski, był przedmiotem drugiej prelekcji z równem zajęciem jak pierwsza wysłuchanej. Genjalny ten poeta syn kamerdynera królewskiego rozpoczął swój żywot od posług w kramie tandety swego ojca, a na-

stępnie z trupą aktorską włóczył się po całej Francji i wróciwszy do Paryża został kamerdynierem Ludwika XIV.

To oiceranie się o różne warstwy społeczne, poczynawszy od klasy najbiedniejszej, strojąc się chętnie w przenicowaną starzyznę, aż do zaludniającej świetne salony rezydencji królewskiej, dozwoliło mu poznanie dokładnego wszelkich wad społecznych, nawiązań, śmieszności, które później z niezrównanym talentem, chłostał ostrym dowcipem satyry. Prelegent uczył go mianem genjuszu i słusznie, choć niektórzy sprawozdawcy nie zgodzili się na to. Genjusz powiedziano stoi wśród wieków całych, jak drogowskaz przyszłości, samodzielny, twórczy, niezrównany, duch jego wolny od słabości i uprzedzeń chwili, całą ludzkość ogarnia orlemy skrzydłami.

Molier był twórcą komedji nowożytniej. Do jego wystąpienia na widownię komedja francuska była farsą, niezręcznym zlepkiem najnienaturalniejszych powikłań, często sprośnych, zawsze płaskich, i zwykle naśladowaniem podobnych kompozycji hiszpańskich lub włoskich. Pojął jej właściwe znaczenie, wniknął w jej ducha, wydobyc ją z gry namiętności i śmiesznotek miejscowej społeczności, wlać w nią nowe życie, pociągnąć wszystkich, płochych i poważnych, szydzących i wyszydzonych, zrobić ją wreszcie satyrą, śmiejącą się w oczy ludziom najmniej do tego przyzwyczajonym, nikt przed Molierem nie umiał tego dopełnić. Komedja też w arlekińskiej szacie, wyszydzana i poniewierana, stała zdala po za szeregiem szermierzy myśli, i drząc z biedy i z nudów, wpatrywała się ze zdziwieniem w społeczność, gwałtem domagającą się satyrycznej chłosty. Molier pierwszy podniósł rękę i scena przemówiła przynależnym jej słowem, słuchacze spojrzeli po sobie i zarumieniwszy się, rzekli w ciszy ducha, ach! to my. I Molier stał się tryumfator, społeczność otrząsała pyły składane na nią wiekami, dziwiąc się że ich nie widziała, a Molier pisał i z coraz ostrzejszym dowcipem podglądał wszystko, aby później wydrwić i ośmieszyć. Więc Molier całą społeczność francuską ogarnął orlem skrzydłem swojej myśli, był przytem samodzielnym, twórczym, niezrównanym, szedł własnym torem, nikt go nie uprzedził, nikt go nie zastąpił, a więc był genjuszem. Na takie wyrosły stanowisko stał się drogowskazem dla przyszłości i od niego też nowożytna komedja datuje swoje powstanie.

Profesor Lewestam w prelekcji swjej przedstawił dwa okresy, w których twórcza potęga genjuszu Moliera rozwijając się coraz szybszym lotem, objawiła się wreszcie w nieśmiertelnych utworach, Tartuffie, Mizantropie i Skapeu. Rozbiór wszakże ich obszerniejszy pozostawił do następnej prelekcji.

**Koncert na dochód niezamożnych studentów Warszawskiego Uniwersytetu.** Warszawa widocznie naukę przekłada nad miłosierdzie, i chętniej ponosi wydatek na opłatę wpisu niezamożnych studentów, jak na przyjęcie w pomoc niedoli, choćby nawet ociemniał. Tysiąc czterysta osób zgromadzonych w salach reductowych dla wysłuchania koncertu o jakim chcemy zdać sprawozdanie, najlepiej tego dowodzi. Tłoczno też było wszędzie i na dole i na górze, parno jak w łaźni, ciasno jak w prasie, czy przytem przyjemnie i zabawnie trudno odpowiedzieć.

Najniebezpieczniejszym bowiem pomysłem nie wiem czym, a najprędzej nie bywającym nigdy widzem koncertowym, estradę umieszczono w samym końcu jednej z sal, długich poprzedzielanych filarami i ozdobionych przeróżnymi żalankami, wybornych dla tłumów maskaradowych zebrań, ale nigdy dla koncertowych wystąpień. Nie mamy wprawdzie innego na to miejsca, trzeba się więc i takim kontentować, ale pocóż konieczną niewygodę powiększać złem urządzeniem? Dla czego estrady nie pomieszczono w środkowym dwóch sal przecięciu? Otoczona w ten sposób z trzech stron publicznością, jak to ma miejsce w resursie obywatelskiej, dałaby możliwość wysłuchania występujących artystów przynajmniej widom na dole zgromadzonym. Wepchnięta w koniec jednego ramienia, jedną trzecią dolnego zgromadzenia a połowę górnego, skazuje najniełatościwiej na daremne wytyżanie oczów i uszów, bez najmniejszej dla siebie korzyści.

Jeszcze z dolnemi widzami pół biedy, mogłaby wprawdzie owa jedna trzecia część idąc na koncert zostawić uszy w domu a przyjść tylko z oczami, bo przy szczególnem staraniu, pchając się, wspinając na palce, podskakując, chociaż czubki głów występujących artystów i poruszenia pałeczki dyrektorskiej

wypatrzyć potrafi, ale połowa górnych widzów na wet tej pociechy nie doznaje. Pomieszczona w ciasnych żalankach galerji, wijących się w różne gzygaki, raz wykrecona bokiem do estrady, to znów plecami, zastoniona różnemi gzymsami, nie nie słyszy z pewnością, a widzi tylko małą część dolnych widzów pod nią zgromadzonych, których przegląd może bawić chwilę, przed rozpoczęciem muzyki, ale samego koncertu z pewnością nie zastąpi.

Los nieszczęśliwy sprawozdawcy Tygodnika pomieścić na dole, w odległości przyzwyczajonej aby nie nie widział i nie słyszał. Wynosiła ona przynajmniej kroków osiemdziesiąt, tak że zając z dobrmi skokami mógłby się nie lękać strzału choćby grubym szróttem do niego wysłanego. O samym więc koncercie, o popisie występujących w nim artystów nie mogę dać sprawozdania. Widziałem wprawdzie twarze grających i śpiewających jakby osłonięte gazową zasłoną: czasami dopatrzyłem otworzenie ust i poruszanie głowy śpiewaków: przypadkiem dostrzegalem także pałeczkę dyrektora podnoszącą się w górę, lub smyczek wybiegający po nad strunami: dojrzałem również jakieś ciemne i jasne sukienki solistek i osób chóru składających: słyszałem huczniejsze ustepy śpiewów i muzyki podobne do głosu jakiegoś kiedy przeprze więzy języka i przemówi nagle: dopadły także do uszów moich niektóre rymy z wypowiedzianych poezji przez panią Modrzejewską i pana Królikowskiego, ale co śpiewano co grano i co deklamowano, dalipan nie nie wiem więc pisać o tem nie mogę. Z okłasków jednak suto sypanych z przywoływań licznych, że szmerów śmiechu podnoszących się czasami jak szum w lesie wiatrem wzniecony, wnosić należy, że publiczność najzupełniej była zadowolona i że artyści wywiązali się z zadania odpowiednio do ich talentów. Najlepiej mi się jednak podobał polonez p. Florjana Oborskiego na zakończenie koncertu przeznaczony. Publiczność bowiem wierna chwalebnie przyjętemu zwyczajowi, w połowie części trzeciej już zaczęła opuszczać salę koncertową, gdy więc na polonez przyszła kolej, miejsca cokolwiek przybyło, i mogłem pierwiastkowe oddalenie od orkiestry zmniejszyć o połowę. Było to wprawdzie trudne zadanie, dla nóg odciskami zaopatrzonych prawie niepodobne, ale silna wola pokonała wszystko. Deptany deptałem, pchany pchałem, porwany masę stałem jak mur, opierałem się, zastaniałem, prosiłem, wciskałem i tak posuwając się krok za krokiem, dorwałem się wreszcie wygodniejszego stanowiska. Krzywiono się wprawdzie i dziwiono mojej zapalczywości, ale nie wiedzianno że to był jedyny namer z całego koncertu, któremu chciałem się jak należy przysłuchać. Trud sownie został wynagrodzony. Polonez ten należy do najpiękniejszych podobnych utworów pana Oborskiego. Śpiewność i powaga, dobra instrumentacja, charakter prawdziwie starodawny, duch swojskości na wskrós go przejmujący, oto główne zalety tej nowej kompozycji. Nie ma w nim smętku Ogińskiego, jest nawet pewna rześkość coś na butę lub rubasność dawną, zakrawającą, ale nie brak mu i niejakić rzeźwości, tak wybitnie cechującej pieśni ludu naszego. Wydany oddzielnie w układzie fortepjanowym polecamy go zwolennikom muzyki.

## Kronika teatralna.

Szczęście nieszczęściem; komedja w jednym akcie oryginalnie napisana. 1)

Śród ulewy i ślizgawicy zeszło-niedzielną spieszyliśmy do Teatru Rozmaitości, bo od samego rana intrygował nas afisz, czerwonymi głoskami zapowiadający sztukę oryginalną, a sztuka oryginalna to inte-

<sup>1)</sup> Już po nadesłaniu nam powyższego artykułu przez naszego teatralnego sprawozdawcę, dowiedzieliśmy się że autorem komedji „Szczęście w nieszczęściu“ jest p. Jan Jasiński zaśluzony w dramaturgji naszej pisarz i były Dyrektor Teatrów. Zostawiliśmy jednak artykuł bez zmian wyrazu w tem przekonaniu, że miłej będzie i Szanownemu Autorowi i Czytelnikom naszym, wiedzieć jakie jest bezpośrednie zdanie o sztuce samej, nie skrepowane względami na jakąbądź osobistość.

(Przyp. Red.)



res pierwszego rzędu w naszej ubogiej dramaturgii. Na ten raz rzecz miała jeszcze jeden odcień więcej zaciekwiający: sztuka przedstawiała się bezmiennie, co u nas a nawet i gdzieindziej jest rzeczą niesłychaną. Tą bezmiennością jest że to skromność, obawa, czy mistyfikacja? Pójdźmyż zobaczyć.

I oto odkrywająca się zasłona ukazuje nam młodą kobietę drżącą o białym dniu, przed południem. Jest to kobieta śliczna powabem ciała, gracją i ułożeniem, słowem pani Bakałowiczowa, która w roli *Matyldy* przedstawiając żonę młodego obywatela wiejskiego, po dwóch latach małżeństwa nudzi się, nie jest szczęśliwą, pomimo wszystkich możebnych warunków szczęścia. Kochając męża głęboko, wzajem od niego kochana, dlaczegoż narzeka? Oto choruje ona na zbyt szczęścia. Mąż ustępuje jej na każdym kroku, ona nie może mieć życzeń żadnych, bo te są przezeń uprzedzone, nie zna wzruszeń walki, tryumfu zwycięstwa, a choćby przykrości z przegranej która dodałaby nieco pieprzu do słodczy jej życia. Poczekaj niewdzięczne dziecko szczęścia, będziesz miała wkrótce to czego pragniesz! Matylda ze swego stanu duszy zwierza się przed Małgosią, żoną ogrodnika która choć prosta kobieta, ale młoda i sprytna, snadź jakiś planik usnuła, bo wkrótce po tem zwierzeniu, rzeczy przybierają inną postać. Niedawno jeszcze Edward ustępował z najzimniejszą krwią, z uległością i poddaniem, przeróżnymi kaprysami wyzywając go żonie do boju, do jakiejś sceny małżeńskiej, któraby wprowadziła rozterkę w jednostajną ciszę życia Matyldy. Niebawem, wracając ze stajni, gdzie go koń lekko zranił uderzeniem kopyta w nogę, pomimo nieudanej trwogi i czulej troskliwości żony, Edward staje się nagle opryskliwym, gwałtownym, odpycha jej pieczołowitość i od słowa do słowa wyznaje żonie oburzenie swe ztąd, że przez dwa lata starając się uczynić ją najszczęśliwszą z żon, łamiąc gwałtowny i popędliwy z natury charakter, by nie zamącić spokoju domowego, który miłość wzajemna usłala, w nagrodę otrzymywał tylko zły humor, niezadowolnienie i lawinę codziennych kaprysów. Dość tego: baranek staje się lwem, i gotów drasnąć pazurami za najmniejszym oporem. Zmianę trybu postępowania Edward zaczyna od tego, że każe natychmiast czynić przygotowania do podróży do Warszawy, a żonę na czas nieograniczony pozostawia na wsi. Matylda słucha tego wszystkiego z razu z niedowierzaniem i zadziwieniem; nareszcie z przerażeniem i rozpaczą, myśli czy Edward nie przestał jej kochać. Ale nie! między szczerze kochającymi się porozumienie łatwe. Kilka słów czulej a z głębi serca wypowiedzianych, zbliżają chwilowo rozróżnione dusze, fałszywe zachcianki Matyldy ulatują z dymem i słońce szczęścia wraca z za chmury na horyzont domowego życia. Wtedy dopiero pokazuje się, że to Małgosia zaniepokojona zwierzeniami Matyldy o szczęściu młodej pary, powtórzyła co do słowa rozmowę swą z Matyldą przed panem i tym sposobem otworzyła mu oczy, które on przez dwa lata trzymał zamknięte. Cóżby to było z tem małżeństwem dotąd, gdyby nie ta pocziwa Małgosia? Takie zapytanie uczyniliśmy sobie po wysłuchaniu tej komedji, a odpowiedź na to zaraz się nam nasunęła w tych słowach, że Małgosia była jednym ze zrządzeń, tak dobrem jak każde inne. Nie ona, to co innego, prędzej czy później, musiałoby dopomóc do jakiejś katastrofy, któraby wprowadziła na jaw to, co małżonkowie ukrywali przed sobą. Tak, tylko że dla charakteru Edwarda pożądanym byłoby, ażeby on sam przez się, z pewnych wskazówek na których nie zbywało, przyszedł do tego odkrycia, sam osnuł plan i samodzielnie go wykonał, tembardziej, że prawdę powiedziawszy, w tym stanie okoliczności jaki przedstawił autor, było dużo własnej winy Edwarda. Już jako mąż a zwłaszcza kochający, przez lat dwa powinien jasno czytać w duszy swojej żony: przeczytawszy, powinien starać się odgadnąć niezrozumiałe dla siebie wyrazy, a odgadłszy przedsiębrać środki przeciw temu co uważałby za zboczenie, nie czekając aż mu światło przyjdzie przez osoby trzecie. Z drugiej strony znów, i żona właściwiejby mężowi starała się dać do zrozumienia co ją dolega, niż spowiadać się przed służką, niemal z oskarżeniem męża.

Ale nie według naszych widoków psychicznych sądzimy tę sztukę, tylko z tych jakie miał autor. Zostawił on rozwiązanie przypadkowi, niech i tak będzie. W każdym razie utwór jego jest wesołym obrazkiem, dobrze trzymającym się w całości, któremu nie brak ani ruchu scenicznego, ani komizmu. Jak te przymioty tak i językowe obrobienie

nie wskazuje, że autor nie musi być początkującym pisarzem, ale ma dokładne obycie ze sceną i stylową wprawę niepoślednią. Gdyby zaś, wbrew naszemu mniemaniu, był początkującym, to w takim razie jest tu talent istotny.

Jakąkolwiek wreszcie byłaby wartość sztuki, doskonala gra artystów naszych musiałaby ją podnieść. Pani Bakałowiczowa, żadnego wyrazu nie wypowiedziała bez znaczenia, żadnego gestu nie uczyniła bez wdzięku, choć przyznajemy, że takiej tylko skończonę gry było potrzeba, ażeby okraścić niektóre miejsca blade w charakterze, uwydatnić niektóre płaskości, rozwekłości ożywić. Żywiej i silniej nakreślona postać Edwarda, p. Tatarkiewicz odegrał z całą swobodą i dystynkcyą, jakie cechują dusze młode i szlachetne. Pani Borkowska była bardzo naturalną w roli szkockiej wieśniaczki, umiała rubasność ochronić od karykatury, co jest dość trudnym zadaniem. Nad tą wreszcie sztuką, by się dobrze zaleciła publiczności, znać było opiekuńczą rękę: włożono ją w środek przedstawienia, między najudatniejszą, zawsze dobrze przyjmowaną komedję p. Chęcińskiego *Cicha woda*, i najweselszą a najszlachetniejszą z fars: *Uściskajmy się*; taki spektakl znęca publiczność, a przy liczniejszej publice każda sztuka idzie żywiej; tak zawsze być powinno. Gdy tymczasem zdarza się że inne sztuki, miejscowego opracowania idą na otwarcie kurtyny do jakiegoś omszonego wiekiem arcydzieła, na jego kilkasetne przedstawienie, i połowa ich schodzi wśród trzaskania drzwiami, szurkania, siadania i wstawania nieustannego: oczywista niełaska, jakiej szczęściem nie uległo *Szczęście nieszczęściem*, którego powodzenia szczerze autorowi powinszować możemy.

X.

#### Dalszy ciąg o wyjaśnieniu dodatku arkusowego.

#### N. 11. Igielnik na druty.

Materiał: pasowe sukno, biała atlasowa wstążka (1 $\frac{1}{2}$  cent. szeroka) biała mora, biały i pasowy jedwab etc.

Wykończenie igielnika, podzielonego dla rozróżnienia drutów, rozmaitej grubości, objaśnia dokładną ryciną N. 11. Na modelu z pasowego sukna przedziałki i obdzierganie górnego brzegu, robi się łańcuchem białego jedwabiu. Wykład opatrzonej z wierzchu cyframi daje się morowy biały. Ząbki są z atlasowej wstążki, pasowymi krzyżkami wyszyte.

#### N. 12. Torebka do robienia frywolitek.

Materiał: Białe kaszmir, 140 cent. kolorowej wstążki (1 $\frac{1}{2}$  cent. szeroka) jedwabna podszewka i kordonek w jednakowym cieniu.

Do przytrzymywania frywolitkowej roboty okazała się bardzo praktyczna torebka, z prostego kawałka białego kaszmiru 13  $\frac{1}{2}$  cent. szerokiego i 21  $\frac{1}{2}$  cent. długiego, przyozdobiona szlaczkiem i rzucikiem w tle wyszytym. Model przedstawia desenie w liście wyszyte stembnówką, łatwy do zdjęcia z ryciny 12. Prócz tego można w tym celu zastosować gipiurową siatkę kolorową wstążką podwleczoną. Podszewka, oblamowanie wstążką, i wiązadła, uzupełniają na bokach zeszytą torebkę.

#### N. 13—17. Pięć deseni na krzyżkową robotę (pantoile, torby, etc.).

Dobór kolorów zależy zupełnie od gustu do rycin; 13—15 podane wskazówki objaśniają cienie. *Nosek pantofli długimi krzyżykami* ryc. 16 ma na przemian dwa cieniowania zielone i brązowe w dwóch kolorach, dopełnione czarnym z białym i żółtymi ściegami jedwabiu. Drugi nosek ryc. 17 w czarne kraje, zapelniają żółto brązowe i mais żółte jedwabne krzyże; pasy z kwadratów, dają się z fiolkowej włóczki mieszanej z jedwabiem.

#### N. 18. Narożnik do chustki od nosa.

Siatkowa gipiura.

Dokładny rysunek, nawet dla niewprawnej ręki, robotę tę czyni nietrudną i zrozumiałą.

#### N. 19. Chińskie pudełko do opłatków.

Materiał: Papierowa kanwa, jaskrawe kawałki sukna lub aksamitu, i jedwab, 300 cent. niebieskiej wstążki 1 cent. szerokiej, stalowe, szklane, lśniące i czarne perełki.

Na złożenie sześciokątnego domku z przykrywką w rodzaju wieżyczki, przykrawa się z papierowej kanwy, 6 równych części 4 cent. szerokich a 8 cent. wysokich, ozdabiając środek każdej ukośnym kwadratem aksamitu, 2 cent. wysokim i 1  $\frac{1}{2}$  szerokim, przytwierdzonym kilku ściegami pstrego jedwabiu i stalowymi paciorkami. Spód, przykrawa się również z kartonu (papier) sześciokątnego, w odpowiedniej wielkości. Na wieczko czyli daszek, kraje się 6 trójkątnych części 5  $\frac{1}{2}$  cent. szerokich u dołu, a 8 cent. wysokich. Tak przyrządzony, wyszywa się najwypierw żółtym i niebieskim jedwabiem, dając podwójne nitki od góry do dołu rozciągnięte i poprzecznie zamocowywane. Wszystkie te cząsteczki, lamują się w około wstążeczką wyszytą na ściankach ściegami jedwabiu, na daszku zaś paciorkami, poczem, należy je spoić. Brzegi, a więc każdy kąt daszku, ozdabiają kwaściki z perełek, przyrządzone podług wskazówek ryc. 19 z czarnych, szklanych i lśniących paciorek.

Rodzaj małej ozdoby z kartonu, z obydwóch stron żółtym aksamitem obciągniętej, w środku  $\frac{3}{4}$  cent. szerokiej, przybranej brzegiem na drut miękki nawleczonemi czarnymi paciorkami, zakończając dwa niebieskie jedwabne kwaściki, z dużym lśniącym paciorkiem. Tak wykończony niby półksiężyc przytwierdza się drutem, żółtym jedwabiem okraczonym, na który nawleka się jeszcze jedna duża czarna, i większa świecąca perła, na samym wierzchu wieczka, przypadająca.

#### N. 20. Pudełeczko do zapalek w rodzaju bębenka.

Materiał: popielaty atlas; pasowy aksamit; białe sukno, gruby i cienki sznur złoty; czarny i pasowy kordonek, złote paciorki, gruba tektura, srebrny i stalowy papier, biała skóra, fiszbin etc.

Jako podstawę bębenka, podzielonego na 4 części, dla wkładania węg zapalek, bierze się kawałek tektury, w kółko sklejonęj 6  $\frac{1}{2}$  cent. wysoki, a 22 cent. długi, do którego, potrzeba denka odpowiedniej wielkości. Szlak w zęby, zdobiący środek okrągłej części, robi się jak na modelu z białych sukiennych zębów 3  $\frac{1}{2}$  cent. wysokich a 2  $\frac{1}{2}$  w górze szerokich, przytwierdzonych na pasowym aksamicie złotym cienkim sznurkiem; ząbki te wyszyte pasowym kordonekiem i złotymi paciorkami, mają u góry maleńki szlaczek, z czarnych i pasowych ściegów. Na brzegach bębenka, daje się jeszcze po 1 pasku tektury 1  $\frac{1}{2}$  cent. szerokim, który się obciąga jak to na ryc. 20 widać atlasem lub materją, wypikowaną w zęby; żeby się ścięgi lepij odznaczały, trzeba pod wierzch dać cienki pokład waty, przykrawając tyle materiału, żeby go można u dołu zakleić pod denkiem, a u góry dobrze wpuścić we środek bębenka. Zresztą, tekturę gdzie wygląda, nakleja się glansownym papierem lub perkalem, dodając na brzegach sznur złoty. W środek wpuszcza się jeszcze rodzaj pudełeczka 6 cent. wysokiego, oklejonego srebrnym papierem po obu stronach; tej samej wysokości krzyż tekturowy srebrnym papierem oklejony, rozdziela pudełeczko na cztery równe części. Wieczko tekturowe odpowiedniej wielkości, obciąga się z wierzchu białą skórą, ze spodu papierem; dwie pateczki na krzyż po 7 cent. długie, utoczone, wystając z pod wieczka, ułatwiają otwarcie pudełka.

#### N. 21. Patarafka.

Materiał: Czerwona i czarna cerata; rozmaite nasiona, kordonek w pstrych cieniach; czarne paciorki; czarna welniana plecionka, etc.

Brzeg patarafka 29 cent. duży wycina się z obu stron w 8 zębów, w środku 7 cent. w zagłębieniach 3 cent. szerokich. Na szlaku tym z czerwonej ceraty, układają się różne bukiety, z nasion, zeschniętych liści, mocnych korzonków, ściegami kolorowego kordunku przytwierdzone i paciorkami gdzie niegdzie wyszyte. Górny, środkowy bukiet, w rodzaju *bratka* daje się z dwóch ciemno-żółtych i trzech białawych pestek bani; środkowy punkt zajmuje duży paciorek biały z czarnymi drobnymi na wierzchu; łuski z sosnowych szyszek, obcięte nożyczkami w rodzaj listecz-



ków, układają się niby gałązki. Obok będący bukiet z kwiatów w kształcie drobnych gwiazdeczek, robi się: kwiatki z jasno-żółtego nasienia ogórków i listki brązowe z nasienia lrysu. Pestki gruszkowe formują girlandę liści, nasiona łubinu, na aksamitnym niebieskim środku z kredowymi paciorkami układane składają kwiaty następnego bukietu. Za nim idą kwiaty z pestek jabłek, z listkami z szyszkowych łusek. Winnegrona następnego bukietu, układają się z ciemno-popielatego nasienia malwy, przy których ciemno-żółte nasienie ogórków, stanowi listeczki. Dalej idzie bukiet, z łupinek białych od nasienia bani, ułożonych jako kamelje z pączkami, i liśćmi kardamonu; potem następują kwiaty z jasno-żółtego nasienia malwy, z nagłówkiem makówki, czarnym paciorkiem przytwierdzonym, jako środek. Listki senesu, formują liście w bukietcie. Ostatni ząb, przedstawia bukiet drobnych kwiatków, mających w środku ciemno-żółty punkcik, z pestki nasienia łubinu, z podłużnymi listeczkami i słupkami kwiatowemi z czarnego jedwabiu, z okrągłym nasionkiem na końcu; jasne nasienie ogórka, stanowi tu liście. Wykończywszy szlak, podług opisu, wewnętrzny brzeg jego, przytwierdza się na tle czarnej ceraty, zielonemi połówkami grochu, z łuski odartego, czarną perełką przy-mocowywanymi. Brzeg zewnętrzny paciorkami naszyty, zamocowywa zarazem podszewkę.

## N. 22—23. Kokarda albo derka podróżna.

Materiał: cienka flanela, angielska włóczka, filozela i kordonek.

Kołdra ta z cienkich popielatych i białych pasków szlaczkiem wyszytych i razem zeszytych zaleca się prędkim i łatwym bardzo wykonaniem. Czerwona flanela służy za podszycie. N. 22 przedstawia jedną część roboty, w najrozmaitszych kolorach dobranej. Jeśli to ma być dera, długość jej powinna wynosić 100 cent. długości a 70 szerokości. Pojedyncze pasy, są wszystkie 8 cent. szerokie; nadbrzeżny składa się na połowę, jako obręb. Rozety, jaką N. 23 w naturalnej wielkości przedstawia, robią się z włóczki w dwóch cienkościach i kordonku odpowiednio ciemnym paskom. Przy zszywaniu pasów, trzeba jeden na drugim przyfastrzygować, żeby się zakładał zawsze na poprzednim o 1 cent. szeroko. Szew na rogu w jasnym pasie, powinien się jak najmniej odznaczać. W następnym numerze Tygodnika Mód, podamy rycinę przedstawiającą szlaczek kordonkowy w cienkości obu pasów, jaki ozdabia każdy szew kołdry.

## N. 24—25. Dywanik przed łóżko z kwadratów na drutach.

Bardzo dobre zużytkowanie wszystkich resztek włóczek, tak łatwo gomadzących się u osób, które lubią kanwową robotę, przedstawiają różne kwadraty tego dywanika. Model którego próbkę na czarnym tle w jaskrawe kwadraty N. 24 podaje, a ryc. 25 ułożenie kolorów objaśnia, składa się z kwadratów na podstawie 12 oczek, w tę stronę i z powrotem, w 24 rzędach odrobionych. Zeszywa się wszystkie po lewej stronie zawsze, potem lekko zwilża i rozpina żeby wyschły. Czarne tło i szlak pojedynczy otaczający dywanik w koło, zozróżnić można na ryc. 24. N. 25 służy do objaśnienia następstwa cieni, układanych po 5 kwadratów jednego koloru, z najciemniejszym w środku, a po dwa jaśniejsze po bokach. Model, 12 takich gwiazd, z pięć-kwadratów w podłuż licząc, składa się z pasów 2 po 4 gwiazdy na wysokość trzymających. Pierwszy z brzegów, czerwony, w środku ma zielone a za nim lila gwiazdy; drugi po brzegach popielaty, ma środek jasno-brązowy (skórzany kolor) a oranżowo-żółty. Deseń ten utrzymany zupełnie pstro, dobrze się wydaje ścięciem „Smyrna“ na pantofle, torby, itp.

## N. 26—30. Zimowe kapelusze.

Kapelusze mało zmienione w formie, odznaczają się tylko wysokiem upięciem piór, barby i woalów.

### N. 26. Okrągły kapelusz z piórem.

Kapelusz ten filcowy, obkładany aksamitem, z za którego wystaje atlasowa rusza, ma przez środek strusie pióro, w kolorze filcu. Można go dać także w innym kolorze, dodając kokardę na przodzie tej samej barwy.

### N. 27. Kapelusz z woalem.

Bardzo małe rondko, stanowi tylko podstawę, dla ułożenia koronki marszczonę płasko w około, przytrzymaną z przodu kokardą z aksamitu w rzucik. Koronka tworząca czub nad czołem, po bokach stanowi odwróconą ruszę, do której z prawej strony, dodaje się tiulowy woal, przytwierdzony rozetą z koronki i dwoma aksamitnymi puklami. Po za czubem można dać jeszcze bukiet kolorowych kwiatków.

### N. 28. Kapelusz z piórami dla starszej osoby.

Kapelusz ten fortuą „Fanchon“ obciąża się gładko aksamitem z buflą na przodzie. Wielkie pióro, kokardą przypięte stanowi diadem; z tyłu, spada na włosy szeroka czarna koronka przeciągnięta do przodu jako naszyjnik, aksamitnym rulonikiem objęty, i w środku kokardą przybrany.

### N. 29. Okrągły tyrolski kapelusz.

Kapelusz ten filcowy opasany szeroką rypsovą wstążką, z ptaszkiem na boku, ma główkę przez środek wklęsłą. Najbardziej noszą je czarne, lub ciemno-zielone jak tyrolczycy, dopełnione długim, w około szyi okręconym woalem.

### N. 30. Okrągły kapelusz z długim woalem.

Płaska, owalna forma jego, pokrywa się całą kwiatami, kokardami i koronką; od środka w tyle idzie długi woal gazowy, 35 cent. szeroki, a 140 długi.

### N. 31—32. Dwa czepekki.

N. 31. *Czepek z kokardami.* Z tyłu proste, z przodu w ząb wystające denko czepek, liczy przez środek 12 1/2 cent. wysokości z tyłu, 26 długości, z przodu zaś 34 cent. Srodkową część pokrywa 5 razy rusza z 3 cent. szerokiej tiulowej wszywki, ściętej ukośnie u dołu na 1 1/4 cent. haftowanego szlaczka 1 cent. szerokiego. Spiczaste końce denka, pokrywają się z każdej strony, 7 cent. długim kawałkiem muslinu. Pasek muslinowy 1 cent. szeroki, obejmuje brzeg czepek w około, nadając mu w samym środku wymagalną sztywność. Tył czepek, pokrywa się 150 cent. długą wszywką tiulową spadającą jak barby, i oszytą 4 cent. szeroką koronką. Przyszycie koronki, pokrywa 1/2 cent. szeroki, haftowany szlaczek. Rusza, otaczająca przedni brzeg czepek, wymaga 3 cent. szerokiego, z obydwóch stron, wąską koronką oszytego, muslinowego paska. Środek ruszy, odznacza, 1 cent. szeroka haftowana szlarka, otaczająca tak, że przedni brzeg kończy. Pojedyncze, 7 cent. duże kokardy z atlasowej kolorowej wstążki, ubierają czepek z przodu. Większa cokolwiek kokarda z końcami, spada z tyłu czepek, druga łączy barby z przodu.

### N. 33. Czepek z rozetkami.

Jako podstawę, wzięść trzeba 40 cent. długi a w środku 8 cent. szeroki pasek petynety, który się z przodu aż do 2 cent. ukośnie ściąć winien. W tyle u prostego brzegu daje się jeszcze trójką z petynety 10 cent. szeroki u dołu, a 7 wysoki. Przedni brzeg rondka, oszywa się marszczoną, 4 cent. szeroką koronką. Denko złożone z gładkiego tiulu i 5 cent. szerokiej tiulowych wszywek, 27 cent. długie, a 14 szerokie, z obydwóch stron zaokrąglone i koronką obszyte w koło, formuje na środku bufujący się cokolwiek woalik. Czepek podług ryciny, ubiera się z przodu, dwoma, 7 cent. dużemi rozetkami, 6 cent.

dużą kokardą i pojedynczemi pukielkami, z 2 cent. szerokiej, kolorowej, atlasowej wstążki. Rozeta 9 cent. trzymająca, z długimi końcami spada na woalik. Barby, 50 cent. długie przyczepione do rondka składają się z 5 c. szerokiej tiulowej wszywki i koronki.

## OPIEKUN DOMOWY.

pismo tygodniowe z obrazkami, wychodzi w Warszawie co Środa. Dążnością jego jest przyczynianie się do rozwoju oświaty w rodzinach polskich i strzeżenie domowego ogniska od wszelkiego rodzaju niemoralności. W piśmie tem gorąco zalecani są: praca oszczędność i dobre obyczaje, bo one są podwaliną bytu należycie zorganizowanego społeczeństwa.

W skład *Opiekuna Domowego* wchodzi następujące działy: Nauka moralna; opisy jeograficzne i podróże; nauki społeczne; wiadomości z nauk przyrodzonych, stosowne do wszelkich prac technicznych, — rolnictwo, rzemiosła, przemysł i handel; powieści, poezje, komedje, podania, obyczaje i charaktery ludowe; życiorysy ludzi wsławionych na polu nauk i przemysłu, wreszcie rozmaiłości.

Cena *Opiekuna Domowego* na prowincji na stacjach pocztowych, oraz w Redakcji w Warszawie przy ulicy Solnej N. 715 z przesyłką pod banderolą na prowincję wynosi kwartalnie rs. 1 kop. 20.

W Warszawie w celniejszych księgarniach i kantorach pism periodycznych wynosi miesięcznie 25 kop. (50 gr.)

Drukowanem jest pismo to na welinowym pięknym papierze. Każdy Numer zawiera arkusz druku i ozdoby jest najmniej dwoma drzeworytami.

— Prenumeratorem stali *Opiekuna Domowego*, bezzwrotnie otrzymywać będą pismo zeszytowe *Czytelnia Domowa*.

## CZYTELNIA DOMOWA.

Wydawnictwo to wychodzić zacznie z początkiem 1870 r. w zeszytach na pięknym welinowym papierze, z których każdy obejmować będzie trzy arkusze druku. Prenumerata przyjmuje się od razu na 12 zeszytów i wynosi Rubli dwa, z kosztami przesyłki, które Wydawca bierze na siebie. — Adresować pieniądze prenumeracyjne franco, należy do Adama Mieczysławskiego w Warszawie, przy ulicy Solnej pod Nrem 715 (nowy 18) zamieszkałego, — *Czytelnia Domowa* poświęconą jest wyłącznie na umieszczanie najnowszych oryginalnych powieści, romansów oraz innych obszerniejszych utworów literatury pięknej. To zbiorowe wydawnictwo, utworzy z czasem pożyteczną biblioteczkę, która w każdym kołku rodzinnym bardzo jest pożądaną. Strzedz się będzie szerzenia niemoralności, jak to czynią spekulacyjne wydania zagranicznych utworów, lecz przeciwnie w nadobnej formie, podawać zamierza utwory niezaprzeczonych wartości, przez znanych pisarzy krajowych skreślone.



MAGAZYN

**S. DZIECHCINSKIEGO**

przy ulicy Miodowej Nr. 486a.

Otrzymał w tych dniach wielki dobór Okryć w najnowszych fasonach aksamitnych, bobrowych z kaszanków i z Syberyj, odznaczające się gatunkiem i grubością, która może zastąpić futra, Kostiumy, Kaftaniki pokojowe, mufki, kaptury i t. p. ubrania, służące do toalety damskiej.

Z powodu zakupu powyższych towarów w wielkiej ilości, ceny są znacznie niższe.

(N. 653—2—6).

(14—1).

**Listy i przesyłki pieniężne** na sprawunki, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.

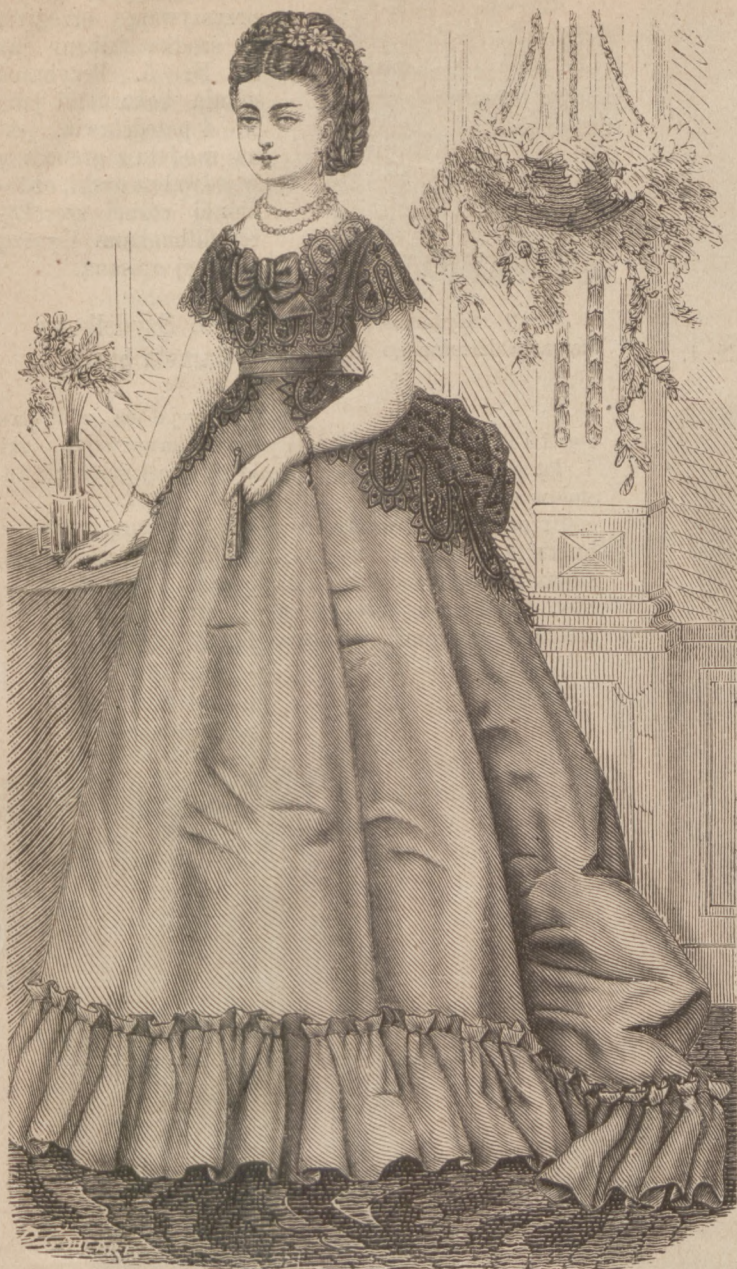
Druk Karola Kowalewskiego.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

Redaktor J. K. Gregorowicz.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i Spis rzeczy za rok 1869.





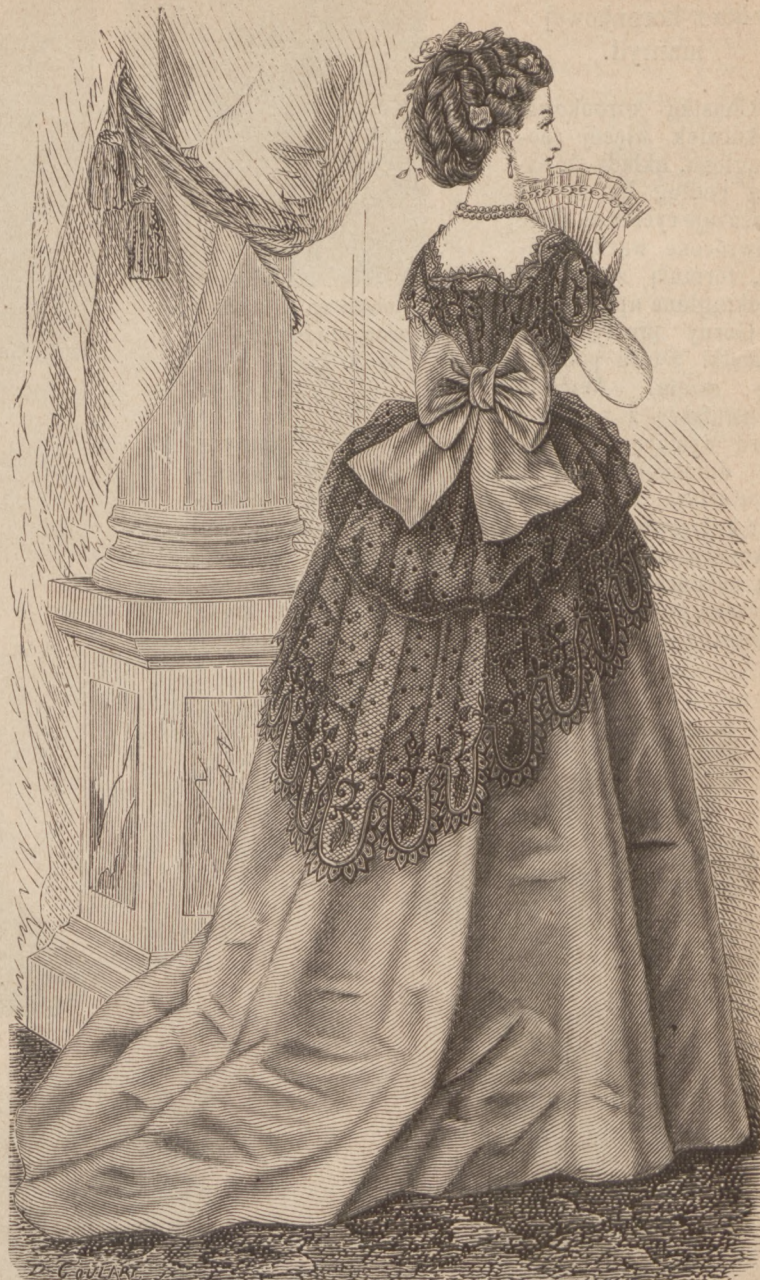
N. 1. Balowe ubranie z pufem z koronkowej mantylki. (Przód).

N. 1 — 3. Upi-  
nanie koronko-  
wych mantyl ja-  
ko pufy i tuniki.

Koronki używa-  
ją się teraz naj-  
więcej jako tuniki  
lub bufy, ciągle  
będące nowością  
mody. Łatwiej  
niż się zdaje, da-  
dzą się układać  
tym sposobem.  
koronkowe chu-  
stki lub mantyle,  
co przedstawiamy  
właśnie, na do-  
łączonych ryci-  
nach. Nadmien-  
iamy, że taki  
sposób układania  
koronek, wyma-  
ga niektórych ob-  
jaśnień. Szczegó-  
ły upinania zależą  
tak od wielkości  
i formy koronko-  
wych mantyl, jak  
od figury osoby,  
trzeba jednakże  
mieć zawsze na  
względzie, aby ko-  
sztowne koronki  
niczem się nie u-  
szkodziły. U man-  
tyl z falbaną, mo-  
żna tę ostatnią  
odjąć, a tło uży-  
wszy na puf zro-  
bić z niej garni-  
runek spódnicy  
u dołu.

N. 1—2. Balo-  
we ubranie z pu-  
fem z koronko-  
wój mantyli.

Na ten rodzaj  
upięcia, szczegól-  
niej się nadaje  
mantyla, z podłuż-  
nymi zaokrąglone-  
mi zębami, które  
się z przodu przy  
wykroju stanika  
spinają, opasując  
ramiona, formują  
ładną bardzo ber-  
tę. Następnie bie-  
rze się środek  
mantyli w tyle,  
tak układa, żeby  
od góry został ka-  
wałek na rodzaj  
gorseci kowego  
stanika, a w kolo  
stanu wolno pu-  
szczając, opina  
część górną w fał-  
dy, przez co resz-  
ta formuje tunikę,  
(Obacz N. 1 — 2.  
Jak daleko man-  
tyla do przodu za-  
chodzi, zależy to  
nie tylko od gustu  
i wzrostu osoby,  
ale również od  
wielkości mantyli.  
Puf, powstaje  
przez przeszycie  
dłuższej jedwabnej  
nitki. Pasek  
i szarf, odpowia-  
dają albo sukni,  
gładkiej, bez gar-  
nirowania, albo  
kolorowi kwiatów  
i pukli, zdobią-  
cych głowę.



N. 2. Balowe ubranie z tuniką z koronkowej mantyli. (Plec).



N. 3. Podpinana tunika z koronkowej mantyli.



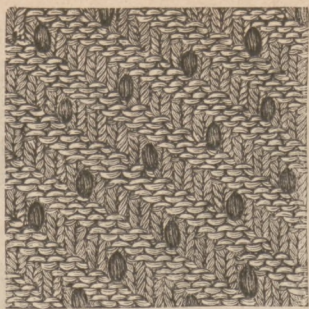
N. 4. Wieczorowe ubranie z wierzchnią suknią z kropy albo grenadiny.



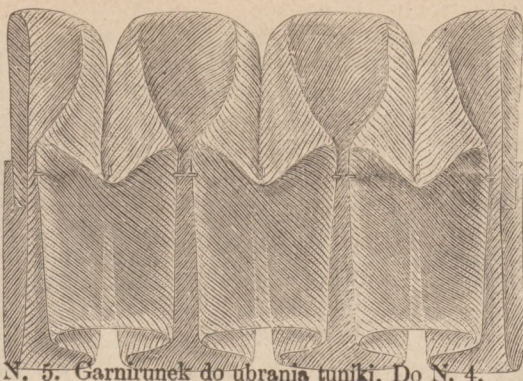
### N. 3. Podpinana tunika z koronkowej mantyli.

Chustka koronkowa, cokolwiek więcej zaokrąglona, układa się sama podług N. 3 jak wskazuje rycina na której odwrócone wązkie końce, formują z przodu zaokrąglone upięcie.

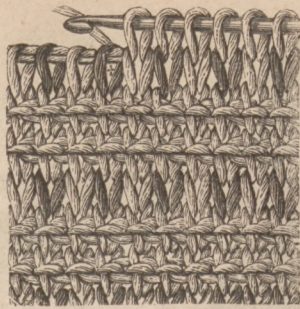
Górny prosty brzeg chustki z tyłu podpinają się razem. Wielkie kontrafaldy z pod kokard wystające, zaczynają się na 15 — 20 centym. od dolnego brzegu. Szarfa z paskiem i kokardy z atlasu, aksamitu lub materji, powinny odpowiadać kolorowi sukni. Suknia zawsze jedwabna, jeśli z koronkami, ma po nad falbaną wstawkę koronkową zakończoną falbankami. Stosownie do całego ubrania, wykrój kwadratowy stanika, otacza kreza „Stuart” jeśli zaś stanik jest pod szyję kreza kończy



N. 8. Robota na drutach z wyszywanym rzucikiem do N. 7.



N. 5. Garniturek do ubrania tuniki. Do N. 4.



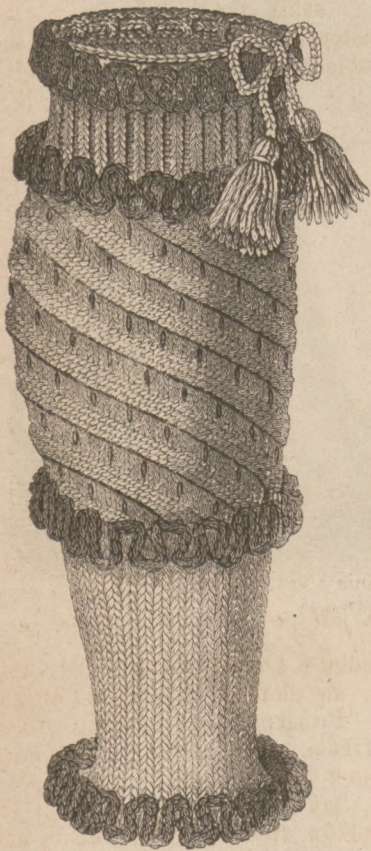
N. 10. Szydełkowa robota kamasza dzieciennego do N. 9.

wracają się u góry i przyszywają orzęgiem do środka falbany jak na N. 5. Przybrana suknia kokardami jaką N. 4 przedstawia, jest na modelu z grenadyny w jedwabne paski, ozdobionej różnej szerokości falbankami i ruszą powyżej opisaną.

### N. 6. Szydełkowy damski bucik.

Materiał na jedną parę: 10 lutów czarnej, 1/2 luta pasowej kastorowej włóczki 1 lut popielatej perłowej włóczki tej samej grubości; 14 stalowych guzików.

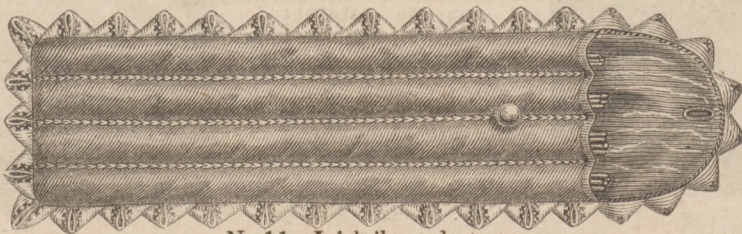
Przez młode i wiekowe osoby zarówno noszony bucik ten, 28 cent. wysoki, na podszewce, wciaga się na trzewiki w drodze lub podczas wielkich mrozów. Podeszwa robiona w tę stronę i napawrot ścisłymi oczkami, wymaga formy wykrojonej ze



N. 7. Kamasz na drutach „Jambière” dla dzieci od 3—5 lat.



N. 6. Szydełkowy damski bucik.



N. 11. Igielnik na druty.



N. 12. Torebka do robienia frywolitek.

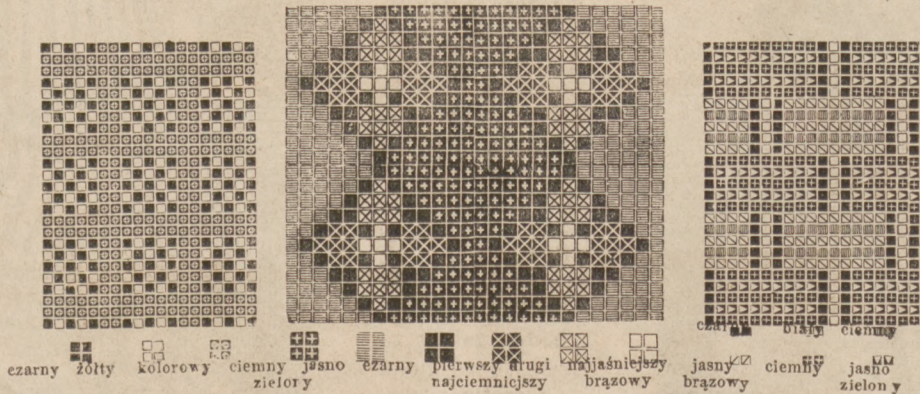


N. 9. Szydełkowy kamasz dla dzieci od 2—5 lat.

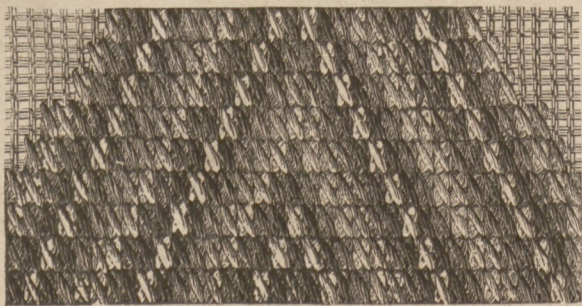
się szerokim koronkowym wykładem, tak jak i mankiet, z wystającą białą koroneczką.

### N. 4—5. Wieczorowe ubranie z wierzchnią suknią z krepy albo grenadyny.

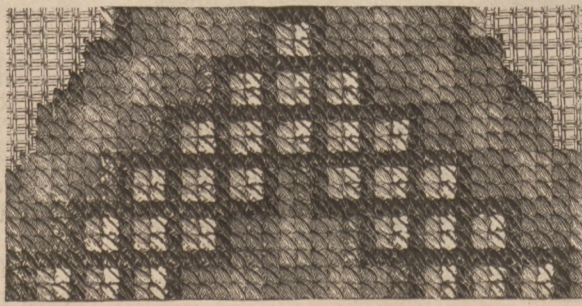
Grenadinowe lub krepowe suknie na wierzch, bardzo odświeżają podniszczoną już kolorową lub czarną jedwabną, tak że jeszcze ujęć może jako dość staranne ubranie. Grenadina może być gładka lub w paski; szczególnie na ten użytek nadaje się nowy rodzaj krepy, który doskonale się karbuje i układa na riasze, a prawie tyle kosztuje co tarlatan. Podobnie jak koronki, krepa daje się tylko jako tunika na gładkiej jedwabnej spódnicy z szeroką lub drobnymi falbankami, stosownie do gustu i po



N. 13 — 15. Trzy krzyżowe desenie na pantofle, torby, itd.



N. 16. Pasek w długie krzyżyki.



N. 17. Pasek w zwyczajne krzyżyki.

zwyczajnego trzewika. Zaczynając ją od palców na 8 oczek, robić trzeba przez długość 24—26 podwójnych rządków, stosownie do formy, podług której się gubi i przybiera, uważając aby szydełko zawsze oba brzegi każdego oczka przejmowało. Na bucik, nabiera się 11 oczek czarnej kastorowej włóczki, które ciągle przerabiają się przez 24 rządków takim ścięciem jak podeszwa, przybierając w każdym rzędzie, w środku, po 2 oczka. Środkowe te, przybierane oczka, dla przyozdobienia, robią się zawsze perłową włóczką, którą się potem czarnym jedwabiem i stalowym guzikiem naszywa. Na początku i końcu 9 rzędu przybiera się po 1 oczku; w 18, 20, i 22, rzędzie z każdej strony po 1 oczku się spuszcza. W rzędzie 25 nabiera się nowe 40 oczek na cholewę, obrobiwszy te oczka z powrotem na dół, trzeba znów 22 rzędy odrobić, w których u dolnego brzegu w trzech ostatnich w dół idących rzędkach, przybiera się na pięcie po 1 oczku, co powtarza się także w każdym rzędku idącym w górę. Gdzie wypada pięta, daje się rząd podwójny 16 oczek wysoki; 12 oczek wyżej wsztukowywa się dla poszerzenia w tyle



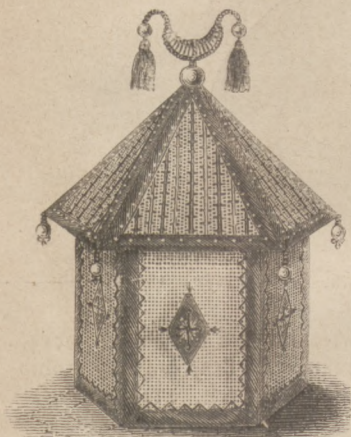
cholewki, 4 rzędk podwójne, z których drugi daje się o 6 oczek wyżej, a pozostałe dwa o 5 oczek. Nakoniec przez długość całej cholewki obrabiając jednocześnie wszukowania, daje się 1 podwójny rząd, stanowiący tył całego bucika. Na odrobienie

drugiej połowy cholewki nabiera się 15 oczek na górny rozpek przyrabiając, zaczawszy od szesnastego oczka, drugą część do wykończonych połowy, tak samo, jak pierwszą, dopóki się w tyle obiedwie nie zejda. Rodzaj krymskiego baranka, 4 szydełkowych rzędkach z popielatą i czarną

to jak pończocha przez 20 rzędków, na przemian 1 oczko na lewo, 1 ocz. na prawo skrzyżowane, żeby sformować część górną w rodzaju znanej powszechnie ściągaczki. Środkowa część kamasza 80 rzędków wysoka robi się prze-



N. 18. Narożnik do batystowej chustki.



N. 19. Pudeleczo do opłatków.

włóczek otacza górny brzeg bucika; rozpek oszywa się barankiem popielatym o 2 rzędkach tylko. Szlaczek ten odpowiada zupełnie szlaczowi, zdobiacemu kamasz N. 9 — 10, tylko że tutaj trzeba z grubszej włóczki po 3, w miejscu 5 powietrznych oczek każdej muszki odrabiać. Rozpek otrzymuje prócz tego łańcuszkowy sznurek, z kważikami z popielatą włóczki. Wykończona podeszwa przyszywa się po lewej stronie do bucika, dodając z wierzchu jeszcze filcową albo skórzanną drugą, by nieprzemakała. Podeszewka w bucik, robi się drewnianym szydełkiem ścięciem zwanym „patentowym” z kolorowej włóczki, na podstawie 50 oczek; z obydwóch końców ukośna, i 24 rzędków wysoka, zeszywa się oczkami podstawowymi i ukośnymi brzegami z sobą i przyfastrzygowywa mocno, tak u góry jak do podeszwy.

N. 7—8. Kamasz na drutach „Jambièrè” dla dzieci od 3 — 5 lat.

Materiał na jedną parę 2 luty popielatą 1/2 luta fioletową angielskiej włóczki.

Na podstawie 60 oczek, robi się z popielatą włóczki zaczynając od góry w ko-

grodziwszy zwyczajnie przerobionym rzędkiem, w ukośny desenik z wyszywanymi muszkami kolorowej włóczki, jak to w naturalnej wielkości N. 7 przedstawia. Desenik ten składa się w ciągłym następstwie, 3 na prawo i 3 na lewo odrobione oczka, tak żeby w każ-



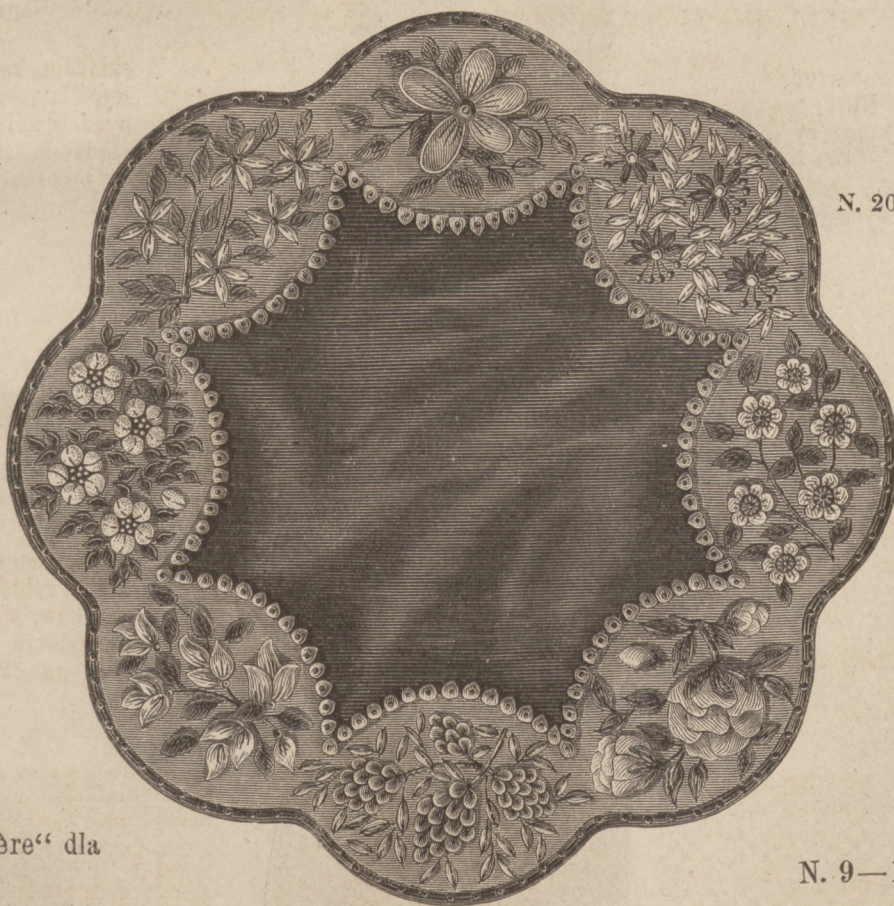
N. 20. Bębenek jako pudeleczo do zapalek.

dym rzędku o 1 oczko posunąć desenik, przez co się uformuje rodzaj ukośnych pasków. Po ukończeniu deseni, zrobić znów 1 rząd gładko w którym na każdym z 4 drutów gubi się po 1 oczku, tak żeby na część dolną z 48 rzędków złożoną i robioną jedno oczko na lewo, drugie na prawo skrzyżowane, pozostawało ciągle 56 oczek. Górny brzeg kamasza, obrabia się kolorową włóczką ściętymi szydełkowymi oczkami dając drugi rząd popielatych słupków, przez które przewleka się jako wiązadło, łańcuszek z podwójnie złożonej włóczki, kważikami popielatymi ozdobny. Na ruszę daną na początku i na końcu pasków, wyglądających jak ściągaczka, potrzeba nabrać kilkoma drutami, oczko po oczku w popielate pęteli, na końcu obłańcuszkowuje się każde pojedynczo, rozdzielane 7 powietrznymi oczkami.

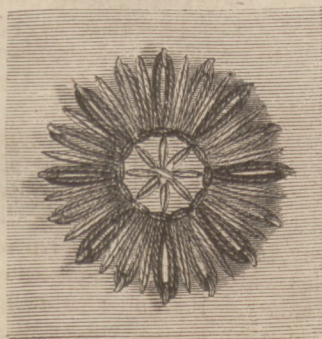
N. 9—10. Szydełkowy kamasz dla dzieci od 3—5 lat.

Materiał na jedną parę; 3 luty białą 1/2 luta kolorową angielskiej włóczki.

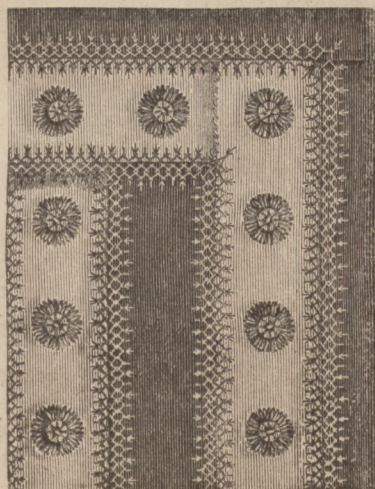
Kamasze te w paski, dochodzące kolan, robią się w podług tunetańskim spo-



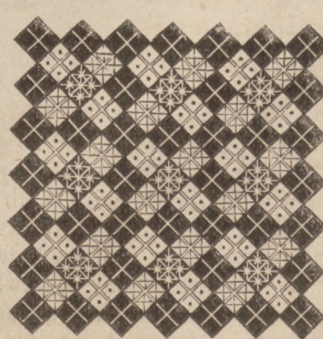
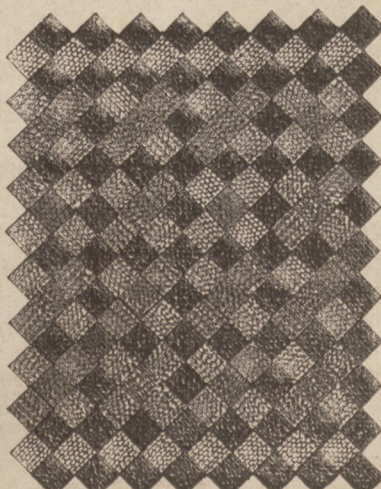
N. 21. Patarafka



N. 23. Haftowana rozeta do koldry. Obacz szlaczek N. 9 w N. 1 Tygodnika Mód.



N. 22. Koldra fanelowa. N. 24. Dywanik przed ściem z kwadratów na drutach lub na kanwie łózkogiem: „Smyrna”.



N. 25. Desień do N. 24



sobem, ścięciem dość znanym i łatwym do rozróżnienia na ryc. 10.

Postępując w jedną stronę, nabiera się na szydelko oczko po oczku, przeciągnięte przez oczko poprzedniego rzędu, a z powrotem przerabia się jedno za drugim jak w łańcuszkowaniu, przegradzając zawsze 1 powietrznym oczkiem. Po każdych *dwóch* rzędkach białej włóczki, tak przerobionych nabiera się na przemian 1 oczko białe, i 1 kolorowe na szydelko, a łańcuszkowanie znów białe wypada. Po takim dwukolorowym rzędku, żeby go odznaczyć, trzeba każde oczko, następnego rzędu, nie za łańcuszek ale

a w ósmym rzędzie 4 oczka się przybiera. Teraz następują *trzy* rzędku zupełnie bez przybrania, z których ostatni środek przodu kamasza stanowi. W tym samym stosunku, odrabia się druga połowa kamasza, spajając tylne brzegi roboty, przypadającymi dobrze paskami z sobą. Jako zakończenie górnego i dolnego brzegu, zrobić najpierw kolorową włóczką po 1 rzędku ścisłych oczek; *następny* rząd pikotowy, w takim następstwie: 1 śc. oczko, potem przeciąga się niby oczko nieprzerobione, przez najbliższe oczko, robi 5 powietrznych i przewłóczy ostatnie tychże przez zatrzymane na szydelku oczka. Ostatni rząd,



N. 27. Kapelusz z woalem.



N. 26. Okrągły kapelusz z piórem.



N. 28. Kapelusz z piórami dla starszych osób.

wprost za samo oczko poprzedniego rzędu zahaczać, przez co będzie inaczej jak na początku. Bliżej to objaśnia w naturalnej wielkości przedstawiona rycina 10.

Od środka tyłu zaczynając nakłada się 55 oczek: najpierw obrabia się je jednym rzędkiem zwyczajnie-

składają zębki z 7 powietrznych i 1 ścisłego oczka, wypadającego między pikotami. Trzy rzędku obrobionych w koło słupków podwójnych, przegradzane 1 rzędkiem ścisłych oczek, dają się tak szerokie, żeby się przesunęły przez górny brzeg kamasza, i stanowią podstawę białego szlaczka. Na tenże, naśladowujący



N. 29. Okrągły tyrolski kapelusz.



N. 31. Czepeczek z kokardami.

go tunetańskiego ścięgu przez długość 25 oczek. — pozostające oczka służą jako zakończenie *pięciu* na stopujących rzędów. *Cztery* pierwsze z nich przedłużony każdy po 5 oczek, *piąty* zaś przeciągnięty aż do końca podstawowych oczek. Górny brzeg kamasza kończy się zupełnie prosto, dolny cokolwiek ukośny, wymaga w pięciu najbliższych rzędkach przybrania 2 oczek. Przed obłańcuszkowaniem *sóste*go z dwukolorowych rzędków, trzeba nałożyć na część *dolną* 5 nowych oczek, na co również w *siódmym* 6



N. 30. Kapelusz okrągły z długim woalem.



N. 32. Czepeczek z rozetkami.

futerko przytwierdza się, do każdego drugiego oczka ścisłego *cztery* razy w koło i jakby w pewnym, w porządku, kawałek 4 cen. długi o 6 nitkach, doskonale rozczesany. Bombelki kolorowej włóczki zdobiące brzeg górny, robią się każdy pojedynczo i przyszywają, jak również cały futrzany garnirek, nieznacznie przyszyć należy. Podwójne strzemiączka najlepiej przykroić ze skóry.